WIDNOKRĄG

Ukazuje się z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI" Nr 4 (330) 28 stycznia 1968 r.

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

IRENA WOJNICKA — „Godzina marzeń" — rysunek

Najlepszy rysunek i grafika w styczniu Konkurs 1968

JÓZEF GAZDA

„Dzieci w ptaszarni" — linoryt

Jan Grygiel

Światła w oknach klubów

Przetoczyła się już wielka dyskusja, która nie tak dawno jeszcze roznamiętniała publicystów i działaczy kulturalnych, dyskusja na temat klubów Książki i Prasy „Ruchu" i ich roli na wsi. Pomawiano kiedyś te placówki o merkantylność, o zdecydowaną przewagę funkcji handlowych nad kulturalną, a ich organizatora i protektora, „Ruch", oskarżano, iż kluby są dla niego koniem trojańskim, za pomocą którego chce upłynnić remanenty bubli z miejskich kiosków — na wsi. Mówiło się również o doraźnej akcyjności, improwizowaniu, słomianym zapale, zwłaszcza że kluby rozmnażały się błyskawicznie i to często w lokalikach, komórkach i alkierzykach, w których trudno było sobie wyobrazić działalność kulturalną. Dzisiaj nawet najzawziętsi onegdajsi oponenci muszą przyznać, iż po 4 latach, które upłynęły od założenia pierwszych placówek, w nich właśnie przebiegają najistotniejsze zjawiska polityki kulturalnej na wsi, one stały się głównym instrumentem aktywizacji i przekazu treści kultury masowej dla ludności wiejskiej. To oczywiście nie oznacza, by wiele spraw z tego kręgu nadal nie prowokowało do dyskusji, ale dyskusja ta musi się toczyć na innej płaszczyźnie, o czym zresztą wspomnę później.

Dziś istnieje już przeszło 7,5 tysiąca klubów „Ruchu" w kraju, z czego 6 tysięcy na wsi, a w naszym województwie 391, nie licząc Klubów Rolnika GS-u. To, że przynoszą one, obok mniej czy więcej aktywnej działalności kulturalnej, ludziom mydło, pastę do zębów, zabawki i wodę kolońską, na pewno nie stanowi sprzeczności z ich celem głównym. Najważniejszym sukcesem klubów jest dotarcie do najbardziej zapadłych wiosek i miejscowości w naszym województwie, tam, gdzie dotąd były białe plamy na mapie życia kulturalnego, czytelnictwa i rozrywki Rzeszowszczyzny; do miejscowości, w których brak światła elektrycznego i dróg dojazdowych, gdzie żadna impreza kulturalna, żaden prelegent nigdy nie mogli dotrzeć. Na ogół przyjęły się one tam znakomicie i stanowią atrakcję dla mieszkańców, nawet wtedy, gdy nie proponują jeszcze jakiegoś bogatego programu rozrywki i działalności kulturalno-oświatowej

Zwiedzałem wiele wiejskich klubów, miewałem tam często prelekcje lub dziennikarskie spotkania. Znam te placówki w powiatach rzeszowskim, dębickim, niżańskim i lubaczowskim. Przyglądałem się ich funkcjonowaniu w Wysokiej Głogowskiej i Siedliskach, w pow. rzeszowskim, Wólce Horynieckiej, Rudzie Różanieckiej, Hucie Różanieckiej, w Łukawcu, Dachnowie, Łukawicy, w pow. lubaczowskim; w Łętowni, w pow. przemyskim; byłem m. in. w Gwoźnicy, Kozłówku, Pułankach, w powiecie strzyżowskim. Wszędzie jesienią i zimą do późnych wieczornych godzin lokale klubów są zapełnione młodzieżą, starszymi, a nawet matkami z dziećmi na rękach, które przybyły do klubu na program telewizyjny, na spotkanie czy nawet po prostu na ploteczki. Gdyby właśnie nie klub — nie telewizor, adapter, kawa i prasa, większość zagubionych w lasach i na bezdrożach wiosek spałaby głuchym snem już o godzinie 8 wieczór, jak to zawsze przedtem bywało. Cóż bowiem robić z wolnym czasem w zimowe wieczory, zwłaszcza tam, gdzie brak światła elektrycznego?

Nie wszystkie kluby „Ruchu" w tych miejscowościach urzekają komfortem, wygodą, czystością i przytulnością.

Nawet większość z nich na pierwszy rzut oka robi wrażenie dość przykre dla mieszczucha. Byłem w lokalach o lśniących wilgocią ścianach, o drewnianych, stromych i ciemnych schodkach, z których w czasie imprezy stale ktoś spadał, w lokalach słabo oświetlonych i tak zimnych, że nikt nie mógł zdjąć palta. Do niektórych wchodziło się po błocie, sięgającym kostek, często spotykało się odrapane tynki, połamane krzesła i nie domykające się drzwi. I o tych sprawach trzeba i należy dyskutować — nie można godzić się z takim stanem rzeczy. I gospodarze tych klubów i ich mecenasowie winni dbać o kulturalny wygląd lokalu dla kulturalnej działalności, o to, by chłopi mogli się spotykać i odpoczywać w pomieszczeniu i atmosferze o charakterze odświętnym i przytulnym.

Ale w tych zimnych, brudnawych i poobijanych lokalach, ludzie tłoczyli się na spotkaniach, stali w drzwiach, gdyż zabrakło już miejsca na krzesłach i w środku sali, w tych lokalach do godziny 23 ogląda się programy telewizyjne i do tych właśnie złych lokali, do źle lub niesprawnie pracujących klubów mieszkańcy wsi mają duży żal, prosząc o interwencję. To świadczy o społecznym znaczeniu klubów na wsi.

Do naszej redakcji coraz częściej napływają skargi na złą atmosferę w klubach, na niewłaściwe traktowanie obowiązków przez ich kierowników, na bałagan itd. Np. mieszkanka jednej z miejscowości w pow. przemyskim pisze: „Jestem młoda i chciałabym kulturalnie spędzać wolny czas, ale niestety, w naszej wiosce jest to niemożliwe, gdyż ostatnio klubokawiarnia zamieniła się w karczmę, zamiast kawy sprzedaje się piwo, którym upija się młodzież i swoim pijackim śpiewem zabawia kierowniczkę klubu, p. Stanisławę B., która woli słuchać ich śpiewu niż płyt. Nie można znaleźć pomieszczenia na stoliki, ale znajduje się ono na transportery z piwem..."

Młodzież z miejscowości Kępia Zaleszańska skarży się, że „Klub-kawiarnia" w ich miejscowości już prawie miesiąc jest nieczynny. Młodzież wieczorem czas spędza w przedsionku u wejścia do klubu. Klubowa mieszka około 100 m od Klubu, lecz nie raczy go otworzyć. Klub mieści się w nowo zbudowanym DK i chyba nie po to został założony, by był nieczynny". List kończy się prośbą do redakcji, by zajęła się tą sprawą i zrobiła wszystko, by młodzież Kępia miała gdzie spędzać wolny czas.

Czytelnik z pow. rzeszowskiego pisze: „Znajduje się u nas klubo-kawiarnia, w której jest popsuty telewizor, rozklekotany adaptor, zniszczone płyty i puste wieszaki na czasopisma. W niedzielę i w ciągu tygodnia wieczorami nudno i smutno. Nic więc dziwnego, że mło-

(Ciąg dalszy na str. 2)

Zdzisław Kozioł

Pomagamy rodzicom

Do kawiarni wbiegła sterana życiem kobieta; bez składu i ładu zaczęła wymyślać strojnej pannicy, mającej nie więcej niż 16—17 lat. To jej córka. Matka w niewybrednych słowach dała wyraz swojemu niezadowoleniu z powodu prowadzenia się dziewczyny, która ani się nie uczy, ani nie pomaga jej w domu. Z potoku gwałtownie wypowiedzianych słów zorientowałem się, że matka jest praczką; wesołość zebranej gawiedzi, niestety, także kilku starszych ludzi, wywołała jej uwaga o pełnej balii i przypomnienie boskiego przykazania, nakazującego czczenie ojca i matki.

Mój przyjaciel, naukowo parający się teorią wychowania, poczynił daleko idące uogólnienie tego incydentu, który potraktował w kategoriach kryzysu władzy rodzicielskiej, konfliktu pokoleń, wygórowanych aspiracji młodzieży. — Co, chcesz, by tej ładnej dziewczynie imponowała matka piorąca sąsiadom bieliznę; ona się jej po prostu wstydzi i być może, marzy o karierze gwiazdy filmowej, a że dla takich sukcesów — poza talentem i szczęściem — konieczna jest jeszcze wytrwała praca, więc to dziewczę zadowoli się tanimi, kawiarnianymi „sukcesami".

Opisane pokrótce zdarzenie przypomniało mi się, gdy pewna entuzjastka opowiadała o reakcji rodziców na ogłoszony niedawno konkurs pod hasłem: „Pomagam swoim rodzicom". Przeglądnąłem regulamin, doznając mieszanych uczuć, bo niejako stanęły mi przed oczyma nadmiernie rozpieszczane przez rodziców dzieciaki, a także dzieci, które pomagając rodzicom, pracują często ponad siły, pozbawione są radości dzieciństwa. Ale o tych ostatnich raczej się nie mówi; aktualnym tematem staje się młodzież „złota", lub jak nazywają ją inni — „bananowa".

I znów przykład: student otrzymuje miesięcznie 2 tys. zł kieszonkowego. Ma zamożnych rodziców, a dysponowanie pieniędzmi jest ich prywatną sprawą, ale... Chłopiec, skądinąd sympatyczny, mając taką sumę, nadaje ton w swym kręgu koleżeńskim, staje się jakby wzorem, jego styl bycia naśladują inni. A to kosztuje. Więc znana piosenka: — Tato, daj więcej pieniędzy! W tej sytuacji tylko silny charakter nie ulegnie spaczeniu. Jest jeszcze inny aspekt zagadnienia; kieszonkowe naszego przyjemniaczka przekracza miesięczne pobory, jakie po ukończeniu studiów będzie otrzymywał w pierwszych latach pracy zawodowej. Jest więc na dobrej drodze do nieprzystosowania społecznego, choć innego, niż to, o którym zwykło się mówić na co dzień; tu w grę wchodzi nie trudne dzieciństwo, lecz, że użyję oklepanego terminu — cieplarniane.

Ale co to wszystko ma wspólnego z konkursem ogłoszonym przez Wojewódzką Komisję Związków Zawodowych, przy współudziale Wojewódzkiego Zarządu Ligi Kobiet i Kuratorium Okręgu Szkolnego. Czytając regulamin, konkurs wydał mi się początkowo banalny, a formalnie potraktowany przez organizatorów może się stać niewypałem. Nie wnikając w szczegóły, uczestnicy konkursu, którymi mogą być tylko uczniowie klas V i VI szkoły podstawowej, mają do wykonania takie prace jak: pomoc rodzicom w sprzątaniu, sporządzaniu posiłków, zakupach czy opiece nad młodszym rodzeństwem. Banalne, prawda?

Otóż wcale niebanalne; zainteresowanie konkursem przeszło najśmielsze oczekiwania organizatorów, czego wyrazem jest chociażby to, że tuż po jego ogłoszeniu zabrakło blankietów zgłoszeń. Ostatecznie możemy się nie pasjonować rywalizacją w trzepaniu dywanów, bieganiem do sklepów czy szorowaniem podłóg. Znamienna jest reakcja rodziców, zwłaszcza matek, bo one zazwyczaj przychodzą na wywiadówki i zebrania w szkole. Omawianie założeń konkursu stało się okazją do rozmów na temat trudności wychowawczych, dialogu między psychologiem lub nauczycielem a matką, której tym razem nie raczono teoretycznym wykładem, mającym ją pedagogizować. Słowem, matki uwierzyły, że ktoś z zewnątrz chce pomóc rodzinie w sprawach tylko pozornie błahych.

Konkurs jest tak pomyślany, by bez wielkich, a nie dla każdego zrozumiałych słów, osiągnąć następujące cele: zapewnić prawidłową organizację wolnego czasu dziecka; wzbudzać jego aktywność i wdrażać do samodzielnej pracy w zakresie zajęć domowych oraz skłaniać do zdobywania niezbędnych wiadomości, potrzebnych do ich wykonywania. To wszystko ma w konsekwencji umacniać więź rodzinną. Te niejako wywoławcze hasła rozwinięto w apelu do rodziców, w którym podkreśla się m. in. wychowawcze znaczenie pracy, a więc szacunek dla wysiłku rodziców, poczucie odpowiedzialności, rozbudzanie inicjatywy, pokonywanie trudności itp.

Konkurs rozpisano dla Rzeszowa, Stalowej Woli, Krosna, Przemyśla i Mielca. Można by się spierać, dlaczego pominięto inne miasta, ale widocznie chodzi tu o konkretnego adresata, a mianowicie rodzinę w większym — oczywiście w skali Rzeszowszczyzny — mieście przemysłowym. Dlatego warto, by podsumowanie konkursu nie sprowadzało się tylko do wyłonienia indywidualnych zwycięzców w szkole czy zespołowych na szczeblu miejskim i wojewódzkim. Zebrany tą drogą materiał, socjologicznie opracowany, wzbogaci naszą wiedzę o sytuacji rodziny, może się stać punktem wyjścia do dalszych inicjatyw w zakresie udzielania jej konkretnej pomocy.

Bynajmniej nie przesadzam, wiele się spodziewając po tym materiale; często w oparciu o znacznie skromniejszy, lansuje się uogólniające sądy. Nie przesądzę, jeśli powiem, że znajomość przemian współczesnej rodziny miejskiej nie jest dostateczna, a sądy na temat skutków cywilizacji miejsko-przemysłowej na jej wewnętrzną spoistość są zbyt ogólne i powierzchowne. I to twierdzenie mógłbym udowodnić na podstawie kilkunastu tzw. popularnych opracowań. Ich lektura nasunęła mi pewne spostrzeżenie; mówiąc o skutkach wspomnianej wyżej cywilizacji, nierzadko powiela się tezy autorów zachodnich. Na pewno i u nas, i tam nurtują ludzi podobne problemy, ale uważna lektura, chociażby francuskich i angielskich prac, ukazuje nie tylko techniczno-materialne uwarunkowanie niedostosowania społecznego młodzieży, lecz także polityczno-ustrojowe i społeczne. Znamienny jest taki przykład: inaczej „buntuje się" młodzież — używając terminologii zachodniej — z klas niższych, a inaczej z warstw średnich; pierwszą cechuje agresywność, druga zaś demonstruje abnegację uznawanych w jej środowisku wartości. Wspominam o tym dlatego, gdyż trudności wychowawcze, poza pewnymi ogólnymi tendencjami, rodzą też specyficzne warunki danego kraju, a nawet regionu.

Jeden z tygodników przedrukował z prasy francuskiej artykuł o kryzysie władzy rodzicielskiej; upraszczając, pewne myśli autora można skrótowo przedstawić następująco: przed ojcem stoi problem zabezpieczenia bytu rodzinie, jest on jakby dostawcą środków materialnych, w czym coraz częś-

(Ciąg dalszy na str. 7)

JÓZEF LIGĘZA

Cecylia Błońska

WYZNACZNIKI STABILIZACJI

„... W pierwszej chwili tym znękanym, zrozpaczonym pragnęliśmy poświęcić książkę. Ale zrozumieliśmy, iż taka dedykacja byłaby jedynie szyderstwem z ich nędzy — im potrzeba nie takiego hołdu czołobitnego, ale pracy, owej „błogosławionej" pracy, i jeszcze raz pracy!..."
(Ludwik Krzywicki, wstęp do „Pamiętników Bezrobotnych" r. 1933).

Praca jest prawem, obowiązkiem i sprawą honoru każdego obywatela.
(r. 1952, Konstytucja PRL)

Pewien szczególnie ze mną spoufalony młody człowiek, gdy tylko wybieram się na wieś lub do małego miasteczka celem zebrania prasowego materiału znając przebieg mych wywiadów w terenie, doradza wesoło, trochę ironicznie: „A nie zapomnij zapytać się, ilu mają inżynierów, nauczycieli, lekarzy, którzy studiowali po wyzwoleniu. Bo to — dodaje z przemądrym uśmiechem na młodziutkiej twarzy — rzeczywiście jest coś niezwykłego..."

Podobnie jak mnie, rówieśnikom międzywojennego pokolenia nieraz już zdarzyło się stwierdzić, że nasze relacje o bezowocnych trudach poszukiwania pracy w tamtych latach, gdy pragnie-

Światła w oknach klubów

FOT. M. KOPEĆ

(Ciąg dalszy ze str. 1)

dzież zbiera się w prywatnym sklepie i popija piwo, a później włóczy się po wsi, śpiewa wulgarne piosenki i rozrabia. Jeśli ktoś zapyta sekretarza GRN o popsuty telewizor, który już 2 lata jest nieczynny, to zawsze mówi swoje: kto popsuł, niech naprawi, a fundusze na cele kulturalno-oświatowe leżą sobie spokojnie w kasie GRN i czekają przeznaczenia na inny cel".

Inni czytelnicy proszą o interwencję, gdyż albo kierowniczka zamyka przed młodzieżą klub i przeznacza go tylko dla starszych w jednej miejscowości, albo pobiera się opłatę za oglądanie programu telewizyjnego w wysokości 1 zł, a bezpłatnie wpuszcza się tylko do klubu krewnych i bliskich sąsiadów — w innej — itp.

Listy te, nie zawsze może obiektywne, czasem uogólniające pojedyncze zdarzenia, w sumie świadczą niewątpliwie o wielu jeszcze niedociągnięciach w ruchu klubowym i potrzebie bezpośredniej interwencji. Wbrew jednak ich wymowie nie przeczą one optymizmowi rozważań w pierwszej części artykułu. Przeciwnie — wykazują, iż ludzie przywykli do rozrywki i zajęć kulturalnych w klubach protestują przeciw wszelkim, chwilowym nawet zakłóceniom w rytmie ich pracy.

Trzeba jednak, by wobec tego więcej niż dotąd przywiązywały do nich wagi prezydia GRN, „Ruch", organizacje społeczne na wsi i wydziały kultury prez. PRN. Trzeba wreszcie definitywnie i wszędzie załatwić sprawy opału, trzeba poświęcić więcej troski wyposażeniu klubów i ich estetycznemu wyglądowi.

Jedną z dobrych form pobudzających ambicje dobrej i aktywnej działalności klubów jest coroczny konkurs na najlepszy klub, organizowany zarówno w skali ogólnokrajowej, jak i w poszczególnych województwach.

Za rok 1967 Woj. Komisja Organizacyjna konkursu przyznała I miejsce i jedną z nagród ogólnopolskich Klubowi Rolnika w Godowej, II — Klubowi „Ruch" w Strażowie. Trzy równorzędne III miejsca zajęły: Klub Rolnika w Krzeszowie, klub „Ruch" w Łętowni i Klub Rolnika w Łużnej.

Nie zawsze nagradzano kluby okazałe, dysponujące doskonałymi warunkami pracy. Byłem niedawno w Klubie Ruchu w Łętowni obok Przemyśla. W dwu ciasnych pokoikach, przy kopcących lampach naftowych tłoczno. Przewija się dużo młodzieży z miejscowego Koła ZMW i dużo starszych. Wieś nie ma jeszcze światła elektrycznego, ale młodzi słuchają taśm z magnetofonu uruchamianego za pomocą baterii. Na spotkaniach frekwencja imponująca — pokoik trzeszczy w wiązaniach. W dzienniku zajęć wpisy wielu znanych ludzi z uznaniem podkreślających aktywność i życzliwą atmosferę w klubie. A więc decyduje tu zaangażowanie się w pracę kulturalną aktywu wiejskiego, a nie znakomite warunki lokalowe.

Brak tu miejsca na szczegółowy obraz działalności nagrodzonych klubów — wrócimy do tego w innej publikacji.

Ale wyłania się w związku z żywiołowym rozwojem ruchu klubowego wiele problemów do dyskusji i wiele kłopotów. Trzeba tym placówkom więcej sojuszników niż dotąd i nowych form poradnictwa instrukcyjno-metodycznego. Nieliczna kadra instruktorska PDK-ów nie może już nadążyć z pomocą organizacyjno-metodyczną dla klubów. Wzrasta w nich bowiem szybko ilość zespołów i kół zainteresowań, a ilość instruktorów jest wciąż ta sama. Brak zupełnie instruktażu dla kół miłośników telewizji; nikt właściwie nie wie, jak prowadzić świadomy odbiór programu TV, jak dyskutować nad teatrem, czy nad audycjami społecznymi. Kto będzie uczył w klubach mieszkańców wsi właściwego odbioru współczesnej plastyki, organizował tam wystawy i prelekcje. Istnieją godne uznania i naśladowania próby objęcia patronatu nad klubami wiejskimi, m. in. przez Muzeum Narodowe w Warszawie i w Łodzi. Dobrze byłoby, gdyby do tej akcji włączyły się muzea okręgowe i regionalne, teatry zawodowe, filharmonie i związki twórcze.

Eksperyment bowiem został sprawdzony przez czas, udał się w pełni i teraz warto poświęcić wszystkie wysiłki, by wielką szansę, którą dają kluby, w pełni wykorzystać. Niech dalej w najbardziej odległych wioskach wieczorami pali się światło w oknach klubów i niech wszyscy znajdą tam coś niezbędnego dla siebie w długie zimowe wieczory.

my je przypomnieć młodemu audytorium, w jakiś niezamierzony sposób obracają się przeciwko prelegentom. Wymieniając między sobą porozumiewawcze spojrzenia, młodzi słuchacze, jak jeden zdecydowani są przypuszczać, iż tylko nieudolność, zbyt małe przygotowanie, niedostatek energii gotowały niepomyślny los.

— Czy jest w ogóle do pomyślenia, by tak się zabijać za pracą? Iluż przedstawicieli rozmaitych zakładów przemysłowych już odwiedziło ich szkołę, przedstawiając wcale atrakcyjne propozycje zatrudnienia, zarobku, zanim w ogóle zdołali opuścić szkolne mury...

A jednak. Zdobycie pracy w okresie międzywojennym było, wbrew tu i ówdzie jeszcze pokutującym mitom o tzw. wysokich pensjach, dobrobycie, taniości produktów żywnościowych itp. niepomiernie trudniejsze aniżeli jej, niczym nie umotywowana — poza powszechnym kryzysem — utrata.

W r. 1933 ukazały się staraniem Instytutu Gospodarstwa Społecznego PAMIĘTNIKI BEZROBOTNYCH. W r. 1931 IGS rozpisał konkurs na pamiętnik bezrobotnego. Wpłynęły 774 prace. O rozmiarach społecznej klęski bezrobocia świadczy cyfra: na każdego z autorów przypadało wówczas 400 ludzi pozbawionych pracy.

Tom zawierał 57 prac konkursowych, nadesłanych przez ludzi dotkniętych utratą pracy. To co opisali, wolne od jakiegokolwiek literackiego retuszu, odzwierciedla w sposób nieomal wszechstronny sytuację ówczesnych bezrobotnych. Obszerna część przypisów, mapek, statystyk, jaką reedycję pierwszego tomu PAMIĘTNIKÓW BEZROBOTNYCH opatrzyło Państwowe Wydawnictwo Ekonomiczne, wspólnie z Instytutem Gospodarstwa Społecznego, obrazuje sprawę w tzw. liczbach bezwzględnych. Na dzień 31 grudnia 1931 w Państw. Urzędach Pracy zarejestrowanych było 312 487 bezrobotnych, z czego w samej tylko Warszawie 15 443, w woj. łódzkim 47 456 itd.

W godłach, jakimi autorzy opatrzyli swoje prace jest zapowiedź tego, co pragną przekazać nie tylko organizatorowi konkursu, co o swym nieszczęściu chcieli głośno krzyczeć, wzywając pomocy. Oto niektóre z godeł: „Nędza jest hańbą współczesnej kultury", „SOS", „Pracy!", „Niewinnie skazani", „Ludzie bez jutra" i chyba najbardziej dojmujące w swym beznadziejnym smutku godło: **„Ten, którego los smaga po twarzy"**, „Głodomór". Niekiedy słowa, piszący zastępowali rysunkiem jak bochenek chleba (z napisem: „Walka o chleb").

Nie brak i tabeli, stanowiącej chyba najbardziej znamienny wyznacznik owych czasów, zawierającej statystykę zamachów samobójczych, zamierzonych, targnięć wręcz na swe życie. „Jeden raz chciałem sobie życie odebrać, ale przez łzy dziecka, które tak kocham, się zatrzymałem" — pisze jeden z bezrobotnych.

Ze wszystkich pamiętników idzie w świat głos rozpaczy: „Ratujcie nas, bo już jesteśmy bez wyjścia, co dzień ta walka o życie, to borykanie się z tą nędzą, już brak mnie siły słuchać jak dzieci płaczą: mamo, ja nie mam bucików, ja nie mam w co się ubrać, ja jestem głodny, mnie ściska, ja już nie wytrzymam dłużej" — w grudniu 1931 roku pisze imająca się wszelkich robót pracownica zamieszkała w Warszawie.

Niekwalifikowany robotnik tknięty bezrobociem w stolicy (autor pamiętnika nr 5) wyszydza propagandowe poczynania rządu: „Rząd szumnie ogłaszał zniżkę cen produktów spożywczych i przemysłowych i w ślad za tym mającej nastąpić jakiejś fali, która zrodzi zapotrzebowanie na te tanie artykuły, to samo przez się ożywi fabryki, zmniejszy się bezrobocie — ale przedtem było obcięcie poborów pracownikom państwowym i fala bezrobotnych jak była dużą, tak i pozostała. Produkcja wyrobów przemysłowych jeszcze bardziej się skurczyła, bo nie ma komu ich nabywać, za biedni jesteśmy".

W tej sytuacji rodzą się myśli o konieczności przebudowy systemu. Bezrobotny warszawski szewc (pamiętnik nr 10) snuje rozsądne plany inwestycji przeznaczonych wyłącznie na użytek tak upośledzonych mas proletariackich. Rozważa jakby to upokarzający fundusz bezrobocia obrócić na budowy, dające regularne zatrudnienie, pracę, której wszyscy zredukowani życzą sobie jako dobra najwyższego. **„Jeśli by przypadkiem została przyznana jakakolwiek nagroda** — zastrzega sobie autor pamiętnika nr 7 — **to proszę mi dać jakąś pracę zarobkową zamiast nagrody pieniężnej, gdyż marzeniem moim jest, aby znaleźć pracę i kontynuować samokształcenie. Mogę być kancelistą, inkasentem, robotnikiem, a nawet od biedy mógłbym pisać artykuły do gazety..."**

W relacjach z województwa łódzkiego, gdzie wielki przemysł zwolnił i na bruku pozostawił tysiące pracowników, są tablice ilustrujące stan materialny domów zamieszkałych przez bezrobotnych. Bardziej jeszcze wstrząsający niż te pozornie oschłe relacje jest cały rozdział w pamiętniku tkacza pod wymownym tytułem **„Na żebry"**, gdzie piszący stwierdza: **„Żebrać w dzisiejszych czasach nie jest poniżające, wielka część Łodzi żebrze..."**

Niemniej dramatyczne są relacje bezrobotnych ze Śląska. „Polsko — kończy swój pamiętnik zecer z Dąbrowy Górniczej — setki tysięcy twoich dobrych synów, którzy nie dla orderów i nominacji, lecz w cichości i zapomnieniu pracą rąk swoich Twoją wielkość budowali, dzisiaj nie ma w co włożyć rąk, szukając pracy, nie ma o co myśli skołatanej zaczepić. Co mają ojcowie powiedzieć żonom i dzieciom, synowie starym rodzicom. **Roku 1931, runąłeś w otchłań czasu, ale nie zapadniesz się prędko w pamięci. Roku kryzysu, roku nędzy!"**.

„Węgiel i żelazo bez pracy" — woła górnik z Przyszowic, tworząc cały obszerny memoriał — pamiętnik bezrobotnego górnika śląskiego. W niedalekiej przyszłości, na wygaszonych kominach śląskich, spokojnie zamieszkać będą mogły bociany.

Kowal zamieszkały w Sanoku (pamiętnik nr 56) relacjonuje sytuację czytelnikom z Rzeszowszczyzny dobrze znaną: „Jak ja pracowałem w fabryce, to wtenczas pracowało około 1 400 ludzi. A dzisiaj obecnie pracuje około 400 ludzi i po niecałe tygodnie pracują, tylko po 2 dni w tygodniu, a nawet inne oddziały to pracują tylko jeden dzień w tygodniu". I on wyszydza rządową propagandę, owo słodkie hasło o cukrze, który krzepi, stwierdzając, że **„dzisiaj dzieci bezrobotnego nawet nie marzą, choćby małą ilość spożywali"**. I on też ludzi się, że zmiana możliwa jest przy większej inwencji, większej pomocy z jaką państwo śpieszyć winno pozbawionym pracy: „jak nie będzie znikąd żadnej pomocy, to nastąpią skutki złe i Państwo na tym poniesie bardzo wielką szkodę, bo całe masy tych biedaków całkiem schodzą na żebraków, i najwięcej na tym cierpi to młode pokolenie, które kiedyś ma być tym dzielnym obywatelem Państwa".

Ostatnie zdanie z pamiętnika sanockiego kowala, który spodziewał się, że „To com opisał, to zostanie wszystkim na pamiątkę naszym wnukom" okazało się pomostem, który łączy tom I z opracowanym w ostatnich latach II tomem Pamiętników Bezrobotnych.

Nakładem wielkich trudów, starań udało się dotrzeć do żyjących autorów pamiętników; zdołano też zgromadzić rozległy materiał prasowy towarzyszący wówczas konkursowym publikacjom i w ten sposób powstał, wydany przez PWE wraz ze wznowionym tomem pierwszym tom II z podtytułem:

PAMIĘTNIKARZE PO LATACH
PAMIĘTNIKI W ŚWIETLE PRASY.

Było to interesujące, a pracochłonne przedsięwzięcie: zidentyfikować ówczesnych autorów, i w formie obszernych relacji przekazać opinii ich późniejsze, przeobrażone losy. Pomyślnym przypadkiem dla inicjatorów reedycji okazał się też fakt, że były robotnik Rafinerii Nafty — **Robert Ostaficzuk — laureat I nagrody w konkursie w 1932 r. na pamiętniki bezrobotnych, żyje i mieszka aktualnie w Puławach.**

Jego dzieje, jego ambicje, historia rodziny, studia dzieci (jeden z jego synów pracuje w Bieszczadach — gdzie jako geolog bada usuwiska), to, że on sam jest jeszcze zawodowo i społecznie czynny, że czeka właśnie na klucze do własnego mieszkania, które otrzymać ma w jednym z osiedli budowanych w Puławach dla pracowników Zakładów Azotowych, że wielokrotnie chwyta za pióro, by doświadczeniami swymi dzielić się z opinią publiczną, w ogólnych chyba zarysach odzwierciedla zasadnicze przemiany, jakich doczekali się ci, którzy pod dramatycznym godłem opisywali ongiś swoje smutne dzieje.

Nie należy pochopnie przypuszczać, że praca, którą bez trudu teraz otrzymują, awans, jaki niejednokrotnie staje się ich udziałem, zmienione warunki społeczne, ekonomiczne, kulturowe sprawiają, iż życie ich usłane jest różami. Niektórzy wyraźnie odczuwają brak pełnego przygotowania zawodowego, którego pozbawił ich okres międzywojenny; starość niesie im nowe, nieuchronne troski: „Mnie bardzo wiele złego zrobił mój brak wyszkolenia — stwierdza Andrzej Będor z Zawiercia — źle urządziłem własne życie i siostry, bo zostaliśmy zdani tylko na siebie, a oboje jesteśmy bezsilni". Rozważając smutny los ludzi starych postuluje: zadbanie o ulżenie w trudzie starości nazywane szacunkiem do znojnej pracy robociarskiej ...., w naszym ustroju należy zaś pamiętać o starym człowieku pracy".

Niektórym przydarzyła się zapóźniona miłość, komplikując życie właściwie już ustabilizowane. Inni, w poprzednim zwłaszcza okresie, przejść musieli przez wiele kłopotów, sytuacji trudnych i bolesnych. Ale **możność uzyskania pracy dowolnej, odpowiadającej przygotowaniu, potrzebom, predestynacjom, nieodmiennie stawiają na pierwszym miejscu, chociaż marzenie o własnym domku często zresztą spełniane, przemożna chęć posiadania własnego trabanta — tych coraz powszechniejszych wyznaczników aktualnej stabilizacji — dla nich tak oczywiste jak dla przedstawicieli młodego pokolenia.**

W warstwie autentycznych wspomnień i aktualnie przeprowadzonych wywiadów, widzę dla masowego czytelnika znacznie atrakcyjniejszą lekturę, aniżeli w wielkim aparacie przypisów, wycinków, statystyk, do których radziłabym zajrzeć aktywistom, wykładowcom przedmiotów „wychowanie obywatelskie", a w chwili wolnej również i młodzieży.

Tym, którzy z nietajoną wesołością spoglądają na nas, gdy próbujemy opowiedzieć im, bezowocny w tamtych latach, trud poszukiwania pracy. Nawet najskromniejszej, choćby najgorzej płatnej...

CECYLIA BŁOŃSKA

FOT. M. NYCZEK

Najpiękniejszy zawód

Osoba Innokientiego Smoktunowskiego kojarzy się przede wszystkim z niezapomnianymi rolami w filmach „Dziewięć dni jednego roku" i „Hamlet". Z wybitnym aktorem rozmawia „Litieraturnaja Gazieta".

— Przygotowujecie się do roli Czajkowskiego. Niełatwe to zadanie. Można bowiem wiele powiedzieć o człowieku, co jednak powiedzieć o stworzonej przezeń muzyce?

— Niemniej to konieczne. Jeśli oprzeć się tylko na kanwie biograficznej można znaleźć się w ślepym zaułku. Przeczytałem korespondencję Czajkowskiego, wspomnienia współczesnych, za najważniejsze uważam jednak co innego. Chodzi o to, aby ujrzeć tego człowieka żywym, umieć połączyć to, czego dowiedziałem się o nim z lektury, z tym, co usłyszałem w jego muzyce. Według świadectw biografów — Czajkowskiego cechowała szybkość ruchów, nawet swe własne utwory wykonywał w szybszym tempie niż to było zamierzone. Moim zdaniem, w muzyce Czajkowskiego kryje się opanowanie, piękno nie tylko myśli, ale i ruchu.

— Wyobraźcie sobie taką sytuację: macie prawo wyboru roli — jaką chcielibyście zagrać?

— Chcę przede wszystkim pracować w dobrym zespole (za taki zawsze uważałem Teatr Dramatyczny im. Gorkiego). Chciałbym grać w filmie i na scenie cara Fiodora. Marzę o Puszkinie. Żaden z naszych aktorów, z wyjątkiem Wsiewołoda Jakuta, nie ukazał tego poety tak, jak na to zasługiwał. Mam jednak już 43 lata. Trochę się spóźniłem.

— **Czy chcielibyście, aby wasz syn, Filip, został aktorem?**

— Chcę, aby był porządnym człowiekiem. Czy wybierze jednak ten zawód? Zresztą napiszcie — bardzo chcę. Aktor to najpiękniejszy zawód, bezinteresowny, przynosi ludziom dobro...

— **Jakie pytanie zadalibyście** — jako dziennikarz — aktorowi Smoktunowskiemu?

— Zapytałbym dlaczego my, dziennikarze, z ogromnego kręgu utalentowanych ludzi wybraliśmy 30-40 osób i ciągle piszemy tylko o nich? (Kt-PAP)

Od lutego na antenie PR

W dniu 1 II br. wchodzi w życie nowy układ ramowy programu Polskiego Radia. Z tej też okazji o rozmowę prosimy redaktora naczelnego rzeszowskiej rozgłośni PR — ZYGMUNTA WÓJTOWICZA:

— Proponuję, aby w naszej rozmowie nie wypływać na szerokie oceany „wielkiej radiowej polityki". Porozmawiajmy o nowej „ramówce". Czego, generalnie rzecz ujmując, słuchacze mogą się po niej spodziewać?

— W całej polskiej radiofonii nowy układ ramowy idzie w kierunku zróżnicowania programu I i II oraz rozmieszczenia poszczególnych audycji w takich godzinach, w których mogą one być słuchane przez największą liczbę tych słuchaczy, dla których są według założenia przeznaczone. Biorąc pod uwagę fakt, że program I odbierany jest głównie przez wieś i małe miasteczka, program zaś II przez większe miasta i ośrodki przemysłowe, założono masowy charakter obu programów, oczywiście z uwzględnieniem zapotrzebowania określonych grup słuchaczy. W programie I np. między godziną 10 a 12 nadawane będą audycje przeznaczone dla osób przebywających w tym czasie w domu; cykliczne odcinki prozy, popularne audycje oświatowe, porady praktyczne dla kobiet, audycje wychowawcze. Niezależnie od tego zwiększony już został czas nadawania programu, zwłaszcza programu III.

— Jak wobec tego na tle programu ogólnopolskiego zmieni się układ programu rozgłośni rzeszowskiej?

— Zmiany polegają przede wszystkim na zwiększeniu ilości audycji o problematyce społecznej, społeczno-kulturalnej i obyczajowej. Dalsza zmiana to przesunięcie proporcji pomiędzy audycjami słownymi, słowno-muzycznymi, oczywiście na korzyść audycji muzycznych różnych gatunków. Idziemy na poważne zwiększenie czasu nadawania naszych audycji na falach ultrakrótkich. Zmianie ulega też czas nadawania lokalnego programu. Emisje odcinków porannych rozpoczynać będziemy przez cztery dni w tygodniu nie o godzinie 7.00, lecz o 7.15 (poniedziałki, wtorki, środy, piątki), natomiast zmianie nie ulegnie czas nadawania audycji sobotniej. Rozszerzeniu ulega zasadniczy blok naszego programu, blok popołudniowy. Dotychczas na antenę „wchodziliśmy" o 16.15; teraz o 16.05.

— Dotychczasowym mankamentem poruszanym często przez słuchaczy w listach do rozgłośni, był fakt, że poranne audycje nie były transmitowane przez radiofonię przewodową. Czy ten mankament usuwa nowy program ramowy?

— Tak. Ponadto nasze poranne audycje nadawane będą również na falach ukf, czego dotychczas nie czyniono. Ma to dla nas niebagatelne znaczenie. Poważnie wzrośnie bowiem krąg słuchaczy tych audycji.

— Skoro już o tym mówimy... Ilu słuchaczy posiada rozgłośnia rzeszowska?

— Trudno określić dokładną liczbę. W oparciu o ilość zarejestrowanych odbiorników lampo-

(Ciąg dalszy na str. 6)

Władysław Boczar

Wizyta w „fabryce snów"

Iwonicz na miarę naszych czasów

Wzloty i upadki, później powrót do dawnej świetności i znowu krach. I tak na przemian — raz na wozie, raz pod wozem. Cóż w tym dziwnego, jeśli się dźwiga na barkach prawie pięć wieków historii i nierozłącznie z nimi związanych „dziejowych burz". Dzisiejszy Iwonicz znajduje się w dość kłopotliwym położeniu średnio zamożnego szlachcica, którego się przyjmuje w arystokratycznych salonach głównie z uwagi na świetną przeszłość.

Rzeczywiście w dawnej Rzeczypospolitej, a nawet poza jej granicami iwonicki kurort błyszczał „przednim blaskiem szlachetnego kamienia". Świadczą o tym zapiski kronikarzy, lekarzy, właścicieli zdroju i ludzi pióra — poetów, pisarzy i pamiętnikarzy. Dziś trudno ocenić, czy te opisy były obiektywnym odzwierciedleniem pozycji Iwonicza, czy tylko miłymi sercu hrabiów Załuskich panegirykami na cześć „dobroczyńców" (jak ich nazywano), a równocześnie dziedziców uzdrowiska.

Dajmy pokój tym wątpliwościom, nie dzielmy włosa na czworo. Ładunek optymizmu zawarty w starych kronikach ma nieocenioną wartość. Wielokrotnie dodawał sił wątpiącym, pozwalał przetrwać okres niepowodzeń.

Jeden z lokalnych patriotów, równocześnie znawca historii i dzisiejszych problemów Iwonicza całą rzecz skwitował błyskotliwie, dowcipnie i proroczo. „Iwonickimi wodami interesowały się królewskie dwory Stefana Batorego i Marysieńki Sobieskiej. Nie sądzę, aby nasze ludowe Ministerstwo Zdrowia było gorsze. Zobaczy pan, przyjdzie jeszcze czas...

* * *

W Wojewódzkiej Pracowni Urbanistycznej inż. Zdzisław Ochman rozwiesza płachty map, pokazuje zdjęcia, plansze, rysunki. Te dokumenty wraz z obszernym materiałem opisowym stanowią „Szczegółowy plan przestrzennego zagospodarowania Iwonicza - Zdroju do roku 1985".

Słucham objaśnień, konfrontuję nowe punkty na mapie ze zdjęciem iwonickiej panoramy widocznej od strony wschodniej. Bez trudu rozpoznaję sylwetki wszystkich istniejących budynków — dużych sanatoriów i pensjonatów oraz małych chałup. Nie są mi znane tylko wrysowane w krajobraz kształty licznych, a nie istniejących jeszcze obiektów — sanatoriów, domów wczasowych, moteli, kawiarni, sklepów itp.

To właśnie Iwonicz przyszłości. Zuchwałość urbanistycznej wizji oszałamia. Mam przed oczyma obraz przyszłości stworzony wysiłkiem ludzi odważnych? A może złudny produkt „fabryki snów"?

Elementy twórczej fantazji połączone z realnymi możliwościami realizacji stanowią główną wartość i siłę tego projektu. Zmiany nie nastąpią jutro ani nawet za 5 lat, chociaż już obecnie nowe puka do drzwi. Znaczy pierwsze ślady fundamentami nowych budów oraz już gotowych sanatoriów. Ale to dopiero początek, lepszy czas zgłasza się niemal z bajecznymi propozycjami i perspektywami rozwoju.

Stworzony w Wojewódzkiej Pracowni Urbanistycznej projekt jest tylko niewielkim fragmentem regionalnego planu zagospodarowania terenów górskich woj. rzeszowskiego w latach 1966—1985. Kosztem przeszło 13 miliardów złotych ma powstać gigantyczny kombinat zdrowia, służący — jak mówią specjaliści — odnowie sił człowieka. Przygotowując projekt zagospodarowania regionu górskiego, wykorzystano sugerowaną przez prof. dr Jana Chmielewskiego strukturę przestrzenną układów pasmowych obejmujących najzasobniejsze w walory przyrodnicze i zdrowotne obszary.

* * *

Uzdrowiskowo - wypoczynkowe pasmo trzecie. Obszar 10 tys. ha. W 50 procentach pokryty pięknymi jodłowo - bukowymi lasami. Przy pomocy pracowników Wojewódzkiej Pracowni Planów Regionalnych, odtwórzmy przybliżony obraz „Krainy Ciszy Śródgórskich" Anno Domini 1985.

Właściwie cały obszar jest jednym wielkim organizmem gospodarczym połączonym wspólną drogą wiodącą od stopnia wodnego w Besku poprzez nowe uzdrowisko w Rudawce Rymanowskiej, Rymanów, Iwonicz, Lubatowę do Miejsca Piastowego. Jednakże przede wszystkim wspólnemu 17-kilometrowemu rurociągowi, dostarczającemu wodę ze sztucznego jeziora w Besku do Rudawki, Rymanowa, Iwonicza, zawdzięczają zdroje rozkwit i sławę. Rurociąg jest Nilem tego obszaru.

Życie gospodarcze koncentruje się w Rymanowie-mieście. Niegdyś podupadła mieścina utrzymuje kontakty handlowe i produkcyjne ze wszystkimi uzdrowiskami. Produkuje, zaopatruje, świadczy usługi. Bogaci się na turystyce.

Wprawdzie „ścisłe" zdroje w Rudawce, Rymanowie i w Iwoniczu pełnią wyłącznie uzdrowiskowe funkcje, lecz przecież droga dla turystów i wczasowiczów otwarta. Przede wszystkim wzdłuż nowej trasy i w ściśle wyznaczonych rejonach przygotowano dla nich tysiące miejsc w motelach, domach wypoczynkowych, ośrodkach campingowych itp.

Podobnie jak w innych strefach, na obszarze „Krainy Ciszy" przyroda jest wartością bezcenną. Surowe przepisy ochraniają lasy przed dewastacją, stoją na straży piękna krajobrazu, czystości powietrza i wody. Mowy nie ma o budowie większych zakładów przemysłowych. Działalność człowieka zmierza nie tylko do trwałego zachowania, lecz również wzbogacenia środowiska przyrodniczego. Oczywiście w wewnętrznej strefie uzdrowiskowej rygory są znacznie ostrzejsze. Między innymi obowiązuje bezwzględna cisza. Nie wolno hałasować, elektryczne gitary i odbiorniki tranzystorowe zostawiamy w domu.

* * *

Dziś trudno powiedzieć, czy w przyszłości przepisy porządkowe będą bardziej szanowane niż obecnie i czy gitar elektrycznych nie zastąpią gitary atomowe.

Najważniejsze są intencje projektantów. Cała przyroda wzbogacona rozumnym działaniem ludzi ma służyć zdrowiu człowieka. Tej generalnej idei podporządkowany jest plan rozbudowy Iwonicza, przygotowany przez głównego projektanta inż. Zdzisława Ochmana oraz inż. Kazimierza Brydaka.

Plan przestrzennego zagospodarowania wyznacza do roku 1985 optymalną liczbę miejsc w sanatoriach (3 000) oraz 1 000 miejsc w ośrodkach wczasowo - wypoczynkowych (stan obecny: ponad 600 miejsc w sanatoriach, około 400 w domach wczasowych i kilkaset w domach prywatnych). Określając granice rozwoju Iwonicza pamiętano o tym, aby w wyniku rozbudowy nie przekształcić zdroju w hałaśliwy ośrodek miejski typu Krynicy, Zakopanego, Sopotu.

Wielka, kilkuletnia praca, poprzedzona zebraniem, analizą i oceną szczegółowych informacji (tzw. danych do projektu) wieńczy dzieło ciekawe i na wskroś oryginalne. Projektanci wyszli poza zamknięty krąg zabudowy starego zdroju, którego granice wyznaczają budynki sanatoryjne położone w pobliżu deptaka oraz niemal symboliczne łańcuchy oddzielające uzdrowisko „od tej reszty". Centralny układ urbanistyczny przekreślał możliwości rozbudowy kurortu w jego obecnych granicach.

Iwonicz położony jest w głębokiej i wąskiej kotlinie, przypominającej głęboki rów, którego dnem biegnie droga do Krosna. Oryginalność koncepcji rzeszowskich inżynierów polega na wyjściu z błędnego koła zabudowy starego zdroju i na zawładnięciu obydwoma brzegami kotliny.

Szczegółowe badania (dotyczące m. in. budowy geologicznej, mikroklimatu, zasobów lasu, walorów krajobrazu itd.), upewniły projektantów w przekonaniu, że nowe uzdrowisko należy zlokalizować na zachodnim brzegu kotliny. Pierwsze zarysy nowego pasma zdrojowego wyznaczają już sanatorium „Piast", „Barburka" oraz lokalizacja przyszłych obiektów na stoku góry Winiarskiej. Sanatoria lub dorównujące im pod względem wyposażenia budynki wczasowe, zakłady przyrodolecznicze i inne obiekty służące lecznictwu, utworzą strefę wyłącznie uzdrowiskową. Będzie ona wkomponowana we wzbogacony pasami leśnymi naturalny park oraz związana kilku setmetrowym deptakiem.

Stronę wschodnią obejmą w posiadanie domy wczasowe, campingi, pola namiotowe, motele itp. Dla turystów i wczasowiczów wyznaczono również miejsca wzdłuż nowego traktu wiodącego z Beska do Rymanowa, Iwonicza, Lubatowej i Miejsca Piastowego.

W pobliżu gęsto i chaotycznie zabudowanego dna iwonickiego rowu powstaną w przyszłości obiekty usługowe i handlowe (dworzec PKS, budynek administracyjny iwonickiego zdroju, sklepy, bary szybkiej obsługi itp.). Ośrodek handlowo-usługowy połączy pozostałe dwa centra (uzdrowiskowy i wypoczynkowy) w jeden nowocześnie funkcjonujący organizm.

Projekt rzeszowskich urbanistów zrodził się w samą porę. W momencie wielkiego przełomu. Właśnie kończy się okres ubogiej egzystencji Iwonicza i nadchodzi szansa rozwoju na miarę naszych czasów. Pojawili się bogaci „wujaszkowie", na których czekano 20 lat. Wielkie zakłady pracy, przedsiębiorstwa, centrale związków zawodowych chcą budować na potęgę. Rozwój Iwonicza można by przyspieszyć, lecz brak wody ostudza inwestycyjne zapały. Jednak wszystko zmierza ku lepszemu. „Wujaszkowie" są, woda z zapory w Besku będzie.

Projekt rzeszowskich urbanistów jest piękny, głęboko przemyślany i daleko wybiegający w przyszłość. Tak być powinno. Do niedawna „senna perła" na gwałt nie potrzebowała pomocy urbanistów (prawdę mówiąc mogli się zjawić kilka lat wcześniej. Być może hotel WZGS stałby w innym miejscu, być może w pobliżu basenu kąpielowego bezmyślna siekiera nie wycięłaby w pień rzadkiej urody jodeł i buków. Być może nie byłoby szkaradnych budek w centrum zdroju i innych osobliwości stworzonych rękami amatorów).

Faktem jest, że mimo zaprawionych optymizmem sprawozdań, Iwonicz znajdował się przez wiele lat daleko od nurtu rzeczywistego rozwoju. Remonty, łatanie, odnawianie, modernizowanie i znowu łatanie. Nawet dzisiaj XIX-wieczne „Pamiętniki" Kazimierza Chłędowskiego mogłą służyć za niezły przewodnik.

„Mieszkaliśmy w Łazienkach w długim domu, naprzeciw kąpieli i rezerwuaru wody jodowej, pokrytego długą drewnianą szopą, zwaną deptakiem".

Prawie się zgadza.

Jeśli tylko zdrowie i pamięć dopiszą, postaramy się przedstawić obraz Iwonicza w 1985 r. Skonfrontujemy projekt z rzeczywistością. Obyśmy się nie musieli gęsto tłumaczyć.

ZDJĘCIA: M. KOPEĆ

Krystyna Świerczewska

PRACA

Młody człowiek studiuje na Politechnice. W czwartym semestrze oblewa dwa egzaminy — rzuca studia, odbywa służbę wojskową i w wieku 22 lat wraca do społeczeństwa ludzi pracujących z równie czystym kontem naukowym, z jakim przed czterema laty — tzn. po uzyskaniu matury się w nim znalazł. Znowu tkwi w punkcie wyjścia, tyle że o cztery lata postarzały, z bagażem pewnego doświadczenia. Cóż więc czyni? Zarzuca politechniczne nauczanie i sławiąc humanistyczny punkt widzenia — podejmuje studia na wydziale filologicznym. Żeni się. Rzuca studia — rozpoczyna pracę. Jakąś tam, naturalnie byle jaką. Ciągle więc trwa w sytuacji nieustabilizowanej, przejściowej. Zarażony bakcylem nauki, w wyniku której hierarchia prac rysuje mu się jeszcze widoczniej, podejmuje trzecią próbę — zaoczne studia na wydziale prawa. Pracuje, bawi dziecko, studiuje. Nie zamierzam nawet polemizować z trudnościami tych studiów, lecz interesuje mnie ten spóźniony czas przynależności do zbiorowości społecznie wartościowej — czyli takiej, gdzie każda praca podejmowana jest z sensem, a więc zamiarem doskonalenia własnych umiejętności, które są wszak niczym innym jak **korzyścią społeczną.** Jedna pochopna decyzja smarkacza ukradła społeczeństwu człowieka co najmniej na lat pięć, a konsekwencje z niej płynące są wielorakie i ogólnie zrozumiałe.

Młoda, śliczna dziewczyna zwierza mi się, że pracuje w szacownej instytucji, tyle że na stanowisku, gdzie wymagana jest umiejętność wypełnienia druku i przyjęcia telefonu. Na studia nie dostała się; jeszcze pokutują w niej niewygasłe nadzieje, ale bez realnego podkładu wiedzy maturalnej, ulatniającej się z każdym rokiem, ba, miesiącem nawet z przerażającą szybkością. Jest zdegustowana, nieprzychylnie nastawiona do społeczności, w której przyszło pracować, niezdecydowana wcale do przyszłości. Słowem — człowiek niemalże bezproduktywny od dwóch lat.

Przykładami sypać by można w nieskończoność. Nie lubię ich nadmiaru, bo jeden czy pięć — jednako określają intencje uogólnienia, jeśli nie są jednostkowe w sytuacji społecznej. Poza tym od razu się zastrzegę, że nie idzie mi tylko o ludzi młodych, czy przegranych życiowo, bądź nieumiejętnie korzystających z przywilejów życia. Interesują mnie postawy ludzkie, które prowadzą do różnych karier — i tych pozytywnych, i tych negatywnych, które przejmują nas niesmakiem. Interesuje mnie poza tym cała otoczka moralno-obyczajowa, która tego typu postawy kształtuje.

Pierwszy młody człowiek, którego osobliwą urodę życia przedstawiłam, zmarnował najlepsze, najbardziej pozytywne szanse w bezrozumnym odruchu szczeniackiego buntu: nie zdałem — więc dłużej o rok studiować? — nic z tego! W efekcie studiuje o pięć lat dłużej, zabierając miejsce innym, którzy do zaocznych studiów nie doszli w wyniku polityki konika polnego, lecz upartej mrówki. Jego inteligentne otoczenie każe mu zdobyć tytuł magistra, niejako nobilitujący w pewnych sferach — więc zdobywa w jedyny dostępny sposób przy jego wieku nader dojrzałym i takimż doświadczeniu wiecznego niemal studenta Że nie wydaje mi się ten tytuł ani konieczny, ani zdolności bądź powołanie określający, czy wiadomości zawodowe rozszerzający — uzasadniać chyba nie muszę. Młody człowiek nie uzyskał jeszcze upragnionego magisterium, praca zawodowa, którą wykonuje, powoli wciąga go (rozciągając studia w czasie coraz bardziej) — więc dalej trwa jakieś nienormalne zawieszenie w jego karierze.

Z dziewczyną jest nieco inaczej — u progu już szanse na normalne studia przepadły; co chciała studiować? Sztuki piękne — jak to określa z ironią. Nie zdała właśnie tego specjalistycznego egzaminu... A więc znowu rzecz wymaga zastanowienia nad predyspozycjami talentu. Ponieważ znam jeszcze jednego młodego człowieka, który wmówił w siebie, że jest przed nim przyszłość artystyczna, zapuścił brodę i wąsy, dwa razy uparcie zdawał na odpowiednią uczelnię i dwa razy oceniono go tam jako ofiarę własnych urojeń, a młody człowiek dziś dobiega trzydziestki i niczego go to nie nauczyło poza umiejętnym pielęgnowaniem brody i żałosnymi usiłowaniami przebywania w pobliżu artystów po godzinach pracy, wyżebranej niemal w instytucji z artyzmem nie mającej nic wspólnego — ponieważ znam tego młodego człowieka i ze strachem patrzę na to marnowanie energii, jaką każdy w końcu dysponuje do pewnego tylko okresu życia w sensie twórczym — i ponieważ wszyscy znamy takich ludzi, gdzieś tam zahamowanych w prawidłowym rozwoju jednostki przydatnej społecznie własnie z powodu śmiesznych ambicji — rzecz też wydaje mi się znamienna oraz na tyle smutna i szkodliwa, że warto ją uogólnić. Są to bowiem jakieś kaleki psychiczne, którym ktoś kiedyś podsunął wzorzec życiowy najzupełniej dla nich nieodpowiedni; pielęgnowanie rojeń z jednoczesnym brakiem rzetelnej wiedzy o tym wzorcu — w konsekwencji doprowadziło do skrzywień psychicznych nader dotkliwych. Myślę, że nie tylko dotkliwych dla samego indywiduum czy jego najbliższego otoczenia, ale przede wszystkim dotkliwych społecznie. Jest to bowiem mała armia nieszczęśliwych nieprzystosowanych, którzy się starzeją bez konkretnego zawodu, sam zaś proces starzenia pogłębia w wielu wypadkach to nieprzystosowanie.

Nie mogę oprzeć się entuzjazmowi dla nowo lansowanej teorii studiów dla najzdolniejszych. Czy jednak to posunięcie, ratujące autorytet wiedzy, nie zaś samą magię tytułu naukowego — jest właściwie rozumiane i moralnie interpretowane? Mam tu własny punkt widzenia i choć może się wydać dyskusyjny w tej chwili, kiedy uświadamiamy sobie po raz pierwszy bariery w przyjęciach na studia — wyznam, że nie wierzę, iż dużej rzeszy tak młodych ludzi, jak ich rodzin łatwo będzie pogodzić się z przyhamowaniem własnych ambicji.

Czy jednak przyhamowanie własnych ambicji idzie w parze z minimalizacją ambicji w ogóle? Nic bardziej błędnego nad taką interpretację! Może to paradoks, ale właśnie z tych barier uniwersyteckich ma szanse wyniknąć ogólne poszanowanie każdego zawodu, które zawsze tłumaczy się jako wzrost kwalifikacji ludzi go wykonujących. Któż bowiem szanuje niefachowość? Dyletanctwo?

Niebezpiecznie przechylają mi się ilościowe proporcje w stronę młodych ludzi, przyznaję, ale jednocześnie właśnie młodzi mają decydujący wpływ na przyszłość każdego zawodu i oni właśnie mogą inne przechylone proporcje, tym razem w prestiżu zawodów w ogóle, wyprostować. Nie mogę pojąć, czemu ów młody człowiek zamiast być popychadłem w swojej obecnej instytucji, nie zakasze rękawów i nie chwyci np. za młot w solidnej kuźni mistrza ludowego, próbując wyhaftować w żelazie cuda starego rzemiosła kowalskiego? Byłby jednym z niewielu ludzi przechowywanych w społeczeństwie na wagę złota. Ludzi p o t r z e b n y c h.

Obawiam się, że nie całkiem dotarł do nas smak słów **człowiek potrzebny.** I że nie całkiem, a contrario, wzbudza **wstyd** traktowanie pracy jako próby wyłgania się z obowiązku tanim kosztem, samym procesem zahaczenia się w jakiejkolwiek instytucji i na jakimkolwiek stanowisku. Uciekam świadomie przed analizą zawodu urzędniczego, który ściąga w swoje szeregi takich zawiedzionych malkontentów życiowych, szukających w nim zaczepienia na chwilę; uciekam, bo zawsze wydawał mi się ten zawód konieczny i na tyle uzasadniony ekonomicznie (nie mówiąc o tym, że także wymagający kwalifikacji, czego dowodem szalenie ekskluzywne szkoły sekretarek na Zachodzie), iż jego obecna deprecjacja w pojęciu szerokiego ogółu jest po prostu fałszywa i krzywdząca dla ludzi rzeczywiście poważnie go traktujących. I wierzę też, że nawet dwudziestu zbuntowanych nieprzystosowanych, rozchwianych w wyborze zawodu ludzi nie jest w stanie zastąpić jednego poważnie pojmującego urzędniczy chleb człowieka. Po prostu przyszli i odejdą. Spowodują straty brakiem nie tyle kwalifikacji, ile psychicznym ustawieniem się do swej pracy — pogardliwym już u podstaw.

A w końcu wszystko zasadza się na wyborze. Wolnym wyborze, który przynosimy na świat z momentem urodzin. I nie godzi się tego wyboru dokonywać w rozterce między nihilizmem, który redukuje świat do samego siebie a konserwatyzmem, który siebie redukuje do zastanej rzeczywistości... Istnieje między tymi dwiema niedobrymi skrajnościami obszar na tyle wielki i sensowny, że tylko do niego właśnie warto przynależeć. Ucieczka z tego obszaru jest samoobroną przeciwko przymusowi podejmowania moralnych decyzji. Myślę, że nasze postawy praktyczne wobec życia zawsze są wynikiem pewnej dysharmonii między efektowną wartością, a powinnością. Każda dysharmonia rodzi niepokój; w przypadku wyboru zawodu, pracy, jej rodzaju — dysharmonia i niepokój zawsze będą walorami twórczymi. Dlatego pewnie doskonale rozumiem młodzież stojącą u progu decyzji o wyborze zawodu; jej rozterki. Mniej natomiast rozumiem te usilne dążenia ich rodziców do maksymy „być kimś za wszelką cenę", którą stosują do własnych dzieci. Praca nie jest igraszką; jest najpierw obowiązkiem, który na nas ciąży i na który kładziemy swoje **placet** właśnie w momencie wyboru. Im z większą zatem świadomością je kładziemy, tym sensowniejszy będzie ten wybór.

Wspomniałam na początku o karierach. Imponującą karierę przede wszystkim zrobiło samo to pojęcie. Łączymy z nim tyle afektów i tak bardzo różnych, że jego interpretacja zawsze będzie podejrzanie szeroka. Co jest dla mnie karierą najmądrzej rozumianą: wiedza, coraz większa wiedza, imponująca wiedza w zakresie swojego zawodu. To wszystko.

Wszystkie inne interpretacje, wszystkie inne elementy, jakie składają się, też bądź co bądź dość oficjalnie, na efekt w pracy, czy nie daj Boże częsta jeszcze społeczna akceptacja ambicji i chęci wyróżnienia się za wszelką cenę we własnej zbiorowości, a więc i kosztem prawdziwych wartości etyczno-zawodowych —wszystko to, zdaje mi się, lepiej określa inny termin, adekwatniej przylegający do prawdy, czyli karierowiczostwo. Ponieważ nie zawsze zdajemy sobie sprawę, gdzie kończy się kariera, a zaczyna karierowiczostwo — mylimy pojęcia.

Bezmyślne poczucie zaspokojenia ambicji widzę tam, gdzie nie liczą się efekty pracy, lecz tytuł i stanowisko. Bezmyślne — gdzie magisterium przesłania umiejętności, stanowisko — likwiduje niepokój twórczy. I dużo wartościowszy wydaje mi się od takiego homo sapiens, który udaje wiarę w kartezjańskie „cogito", przeciętny murarz znający tajniki przyrządzania prawidłowej zaprawy, czy fryzjer, któremu nie lakier i tapirowanie, ale umiejętności manualne pozwalają wyczarować kunsztowną fryzurę. Bo smak pracy, zda mi się w każdym zawodzie jednakowy.

Wszyscy znamy wielu ludzi, którzy pracują. Właściwie prościej byłoby powiedzieć, że w ogóle nie ma ludzi niepracujących. I wszyscy wiemy, jak nierówny jest zapał, jaki ich do pracy popycha. Są oportuniści z dewizą „coś trzeba robić"; są cwaniacy, co to czy stoją czy leżą, biorą dwa tysiące; są leniwe mamuty, wciągnięte ponuro w kierat obowiązku, dla których praca jest męczarnią; są ludzie w trakcie zdobywania wiedzy, dla których osobiście mam wiele szacunku; są wreszcie entuzjaści, o których w pewnym kabarecie śpiewano, że życie ich niełatwe, bo któryż dyrektor chce mieć u siebie fachowca...

Mam cichą nadzieję, że wcale nie tak mało jest tych entuzjastów, bo coraz częściej na wystawach sklepowych błyska mi piękny but rodzimej produkcji czy tkanina, czy mocniejsza a cienssza pończocha; bo czytam coraz staranniej wydane książki bo trafi się w telewizji mądry program — a w prasie mądry artykuł. Rzecz w tym jednak, by mniej ludzi marzyło o pisaniu artykułów na rzecz marzeń o dobrze skonstruowanym bucie. By popularność tego buta, w rozumieniu pracy twórczej, jakiej też wymaga, dorównała pasji i popularności artystycznego tworzenia. Dość często jeszcze jest tak, że umiejący zrobić but bierze się do pisania poezji, którego to procesu do końca przeniknąć mu się nie udało. Że dobry urzędnik koniecznie chce pisać książkę o niebycie, który to termin znowu z racji brzmienia wydaje mu się ponętny, a wykonywana praca, sama w sobie będąca realnym bytem — nic z ponęt dlań nie zawiera. I dziś często jest tak, że nieszkodliwe hobby — w pewnym sensie swoisty dodatek do pracy oraz jej ozdoba — staje się celem samym w sobie, powodując śmieszne frustracje i odpływ energii z właściwego kierunku w nader niewłaściwą stronę. Dlatego moment decyzji, do jakiej pracy przynależeć w dalszym całym życiu, traktowanie tego momentu jako wielką perspektywę, w ł a s n ą możliwość, uświadomienie sobie, że na każdą pracę składają się mniej lub bardziej drobne elementy twórcze, wyeliminuje może tę b y l e j a k o ś ć, która musi drażnić człowieka uczciwie pracującego.

FOT. M. KOPEĆ

Polonica kulturalne

Halina Czerny-Stefańska w ZSRR

LENINGRAD. „Swoimi koncertami Halina Czerny-Stefańska raz jeszcze utwierdziła nas w przekonaniu, że należy do najlepszych interpretatorek muzyki Chopina na świecie" — w ten sposób prasa radziecka oceniła występy naszej pianistki w Leningradzie. Ze szczególnym uznaniem spotkały się polonezy Chopina w wykonaniu polskiej artystki. Odbywająca obecnie tournee po ZSRR Halina Czerny - Stefańska koncertowała poprzednio w Mińsku i Wilnie, a z Leningradu udaje się do Moskwy.

„Urząd" — w czechosłowackiej telewizji

PRAGA. Telewizja czechosłowacka przedstawiła w swym programie „Urząd" Tadeusza Brezy w adaptacji Krystyny Nastulanki. Przedstawienie otrzymało doskonałą obsadę aktorską. Reżyserował J. Novotny.

Recenzenci czechosłowaccy wysoko ocenili utwór i jego inscenizację. Sprawozdawca „Vieczerni Praha" nazywa sztukę dramatem zawiedzionych nadziei i porównuje ją z „Zamkiem" Kafki.

„Współcześni poeci polscy" w Bułgarii

SOFIA. Nakładem bułgarskiego wydawnictwa „Narodna Kułtura" ukazał się kilkusetstronicowy zbiór wierszy pt. „Współcześni poeci polscy". Książka stanowi przegląd twórczości 47 poetów od Leopolda Staffa aż do autorów współczesnych najmłodszego pokolenia.

Wśród tłumaczy widnieją nazwiska wybitnych poetów bułgarskich — Dory Gabe, Blagi Dymitrowej, Elizawety Bagriany i in. Przedmowę napisał prof. Peter Dinekow.

Od lutego na antenie PR

(Ciąg dalszy ze str. 3)

wych i przewodowych sądzimy, że naszego programu słucha około milion osób. Tu nie można zapomnieć, że coraz więcej osób posiada odbiorniki tranzystorowe, nie ujęte w rejestrach, i o tym, że nasz lokalny program transmituje rozgłośnia krakowska. Prócz tego mamy wiernych słuchaczy i w innych województwach. Potwierdzeniem tego niech będą liczne listy, jakie otrzymujemy nie tylko od słuchaczy z województw sąsiadujących z nami, lecz także z województw wrocławskiego, opolskiego i katowickiego.

— Przejdźmy wobec tego do konkretów nowego układu programowego rozgłośni rzeszowskiej PR. Jakie nowe pozycje przewiduje ta „ramówka".

— Zacznijmy od rannej audycji poniedziałkowej. Dotychczas był to magazyn „Co nam tydzień niesie". Od lutego będzie to felieton lub reportaż związany tematycznie ze spodziewanym najważniejszym wydarzeniem tygodnia. Zupełnie nową pozycją będzie audycja poświęcona popularyzacji dorobku kadry naukowej naszych obu uczelni, audycja satyryczno-interwencyjna, cykl audycji poświęconych problemom służby zdrowia oraz nowa audycja, w której omawiać będziemy najważniejsze problemy z działalności organizacji i instancji partyjnych.

Tu pragnę podkreślić, że kierując się nowymi wymogami, stawianymi współczesnej radiofonii, cztery razy w tygodniu nadawać będziemy aktualne komentarze, przy czym starać się będziemy, żeby to były komentarze krótkie, komunikatywne, poruszające problem dnia.

W krótkiej rozmowie trudno mówić o wszystkich szczegółach. Chcę tylko wspomnieć, że niektóre dotychczasowe audycje nadawane będą w zmienionym terminie. Tak np. jest z „magazynem studenckim", który w nowej ramówce emitowany będzie w audycji porannej.

Oczywiście, zachowujemy te audycje, które jak nam wiadomo, mają swoich stałych słuchaczy, tak jak „Odpowiedź ze studia", „Jakie są pytania?", „Opowieść wędrownicza", „Portrety miast", „Ludzie i zdarzenia", chętnie słuchane audycje naszej redakcji muzycznej: „Skąd przybywasz piosenko"?, „Włoskie canto", „Wprost z grającej szafy" itp. W tym miejscu chciałbym szczególnie zaakcentować, że przy nowym układzie ramowym w dalszym ciągu idziemy na szerokie współdziałanie z istniejącymi na naszym terenie ośrodkami twórczymi oraz na popularyzację ich twórczości. Toteż m. in. w audycjach cyklicznych „Rzeszowska antena literacka" i „Trybuna literacka" prezentować będziemy dorobek naszego młodego środowiska literackiego, a w „Teatrze radiowym" prezentować słuchowiska z udziałem naszych rzeszowskich aktorów.

— Dużo się ostatnio mówi o audycjach nadawanych w zakresie fal ultrakrótkich...?

— ...I jest to jak najbardziej uzasadnione. Wiadomo, że fale ukf gwarantują wysoki poziom techniczny odbioru i dobrą słyszalność. Dlatego też przywiązujemy dużą wagę do opracowania i emisji tych audycji. W planach rozwojowych polskiej radiofonii zakłada się zresztą nadawanie programów lokalnych wyłącznie na falach ukf. W związku z tym przedsięwzięto już cały szereg kroków natury technicznej, lecz zasadniczym warunkiem będzie wzrost liczby abonentów posiadających odbiorniki z tym zakresem fal. Na marginesie mogę dodać, że w wyniku uchwały Egzekutywy KW PZPR w sprawie środków masowego przekazu, ZURiT podjął m. in. akcję sprzedaży aparatów radiowych z zakresem ukf oraz opracowany został laboratoryjny sposób przystosowania odbiorników starszych typów do odbioru fal ukf.

Wobec częstych pytań „kiedy Rzeszów będzie emitował program III?" pragnę też wyjaśnić, że już wkrótce program ten zostanie doprowadzony do naszej stacji systemem łączy i oczywiście będzie emitowany (nie jak dotychczas na zasadzie „prowizorki").

Jeśli natomiast chodzi o nasz lokalny program nadawany w zakresie fal ultrakrótkich — od lutego wyłącznie na tych falach emitować będziemy cztery półgodzinne audycje tygodniowo (od 18 do 18.30). Będą to audycje typowo rozrywkowe, a więc przeboje muzyczne, humoreski, żarty, anegdoty itp.

— Na czym więc zakończymy naszą rozmowę?

— Chyba przypomnieniem, że Rozgłośnia Polskiego Radia Rzeszów nadaje swoje lokalne audycje na fali średniej w paśmie 249 m oraz na fali ukf w paśmie 68,2 MHz, a także na radiowęzły. Ponadto, podobnie jak program II, na fali ukf w paśmie 65,9 MHz do godziny 17 emitujemy program I, a od godz. 17 — program III przyjmowany dotychczas prowizorycznie odbiornikiem z Lublina. Cóż poza tym? Cały nasz radiowy kolektyw ma ambicję zrobić wszystko, aby nasz program wciąż był programem lepszym, bardziej zaangażowanym, by lepiej służył naszej sprawie, odpowiadał wciąż wzrastającym wymaganiom słuchacza.

Życząc naszym słuchaczom dobrego odbioru, a kolegom dobrych audycji — czekamy jednocześnie na uwagi i propozycje słuchaczy, które są nam zawsze pomocne w redagowaniu programu.

Rozmawiał:
JERZY WALCZAK

ROMUALD LENECH

SMAK SŁAWY

Drzwi prowadzące z mojej wystawy malarskiej na ulicę poczęstowałem lekkim kopniakiem. No bo co też za wnioski z całej imprezy: parkiet na sali nie dotknięty stopą zwiedzających, zakupów żadnych, jedyny usiłowany akt kradzieży obrazu udaremniony przez pilnującą staruszkę, po prostu skandal.

— Żeby chociaż ktoś był opluł mój zgeometryzowany autoportret pomyślałem gorzko i poczułem pod nogami jakąś żywą istotę: salę wystawową opuszczał wraz ze mną zabłąkany pies. Pies kulawy na jedną nogę.

— Co tu robisz, bydlaku! — zagotowało się we mnie.

— Nic specjalnego, przyszedłem tylko po ciebie.

Zamiast ogonem wywijał trójdzielną anteną. Był klasycznym psim robotem.

— Czy jesteś naprawdę artystą? — rzucił pytanie z psią bezczelnością.

— No, spodziewam się. — odpaliłem.

— Według mnie jesteś tylko półartystą. Nie widzę w twoim malarstwie niczego indywidualnego. Czy wymyśliłeś choć raz w życiu proch?

— Nie.

— Czy wyraziłeś choć raz z czarującą brutalnością świat absolutnego umysłowego debilstwa?

— Nie.

— Czy z twoich obrazów rozbrzmiewa może elektronowa muzyka, a zamiast farb używasz asfaltu z gwoździami, czy w ogóle wymyśliłeś szósty zmysł widza, którym byłby zdolny odczuć siedmiowymiarowość twoich dzieł?

— Nie, nie, nie — przysiadłem ze złości na ulicy.

— Nie mam zresztą czasu na jałowe dyskusje. Chodź pomóc lepszym od ciebie, moim mocodawcom.

Obszczekiwany metalicznym głosem psiego robota znalazłem się wkrótce na drugiej kondygnacji jakiejś odległej rudery przedmieścia. Za dotknięciem ukrytego w futrynie guzika, pojawiła się na drzwiach wywieszka: „Klub Przestępców", po czym drzwi puściły.

— Hej, tam! zamiast cepeliowskich cacek majstrujecie ordynarne psie roboty! — rzuciłem z fałszywą pewnością siebie. — Wstyd zaniedbywać folklor dla komercyjnej użytkowości. A w ogóle czego chcecie ode mnie? Jestem kompletnym dziadem.

— Chcesz zdobyć sławę i trochę forsy? — zapytał typ z długim włosem — to nie podskakuj, tylko wykonuj nasze rozkazy.

— Jesteś nam potrzebny — uściślił drugi, z szramą przez usta. — Jeśli wykonasz zadanie, zarobisz swoją dolę i może opylisz swoje kicze. Jeśli jednak nas wsypiesz, to wykończymy cię.

Trzeci, z szczurowatymi oczkami, rozparty w fotelu, wyjaśnił rzecz dokładniej:

— Od trzech dni siedzi w mieście ładowany dolarami zagranicznik i skupuje obrazy. Jeżeli mu nie przeszkodzimy, rozpuści cały majątek. Trzeba go jak najszybciej obrać. Wolne chwile spędza na boiskach i w halach sportowych. Pójdziesz więc ze swoim kiczem pod pachą na przynętę. Rozumiesz? A potem przyholujesz go tutaj. Resztę załatwimy sami. Zaprowadzi cię pies. Pamiętaj tylko, że każda próba nieposłuszeństwa zostanie ukarana.

Ogromną halą sportową kołysało od entuzjazmu zebranych tłumów. Wezbrane fale uniesienia ustępowały tylko raz po raz przed potężniejącymi przypływami zniecierpliwienia kibiców. To ulubiony as boksu zapodział się gdzieś w tłumie.

— Pupczak bombardier! Pupczak bombardier! Wracaj. Nie bój się! My za tobą! — rozbrzmiewało.

W narożniku oświetlonego ringu leżał rozciągnięty na macie nieprzytomny przeciwnik Pupczaka, wyliczony od kwadransa.

Przewodnik pies-robot, wśród zagęszczonych wyładowań ponad sterującym ogonem-anteną prowadził poprzez tłumy ku trybunie, gdzie szalał z radości zagranicznik.

Szedłem jak na ścięcie. Kiedy znalazłem się w pobliżu ofiary, wsparłem się stopami na ramionach przygodnych kibiców, aby lepiej zaprezentować obraz. Chybocząc się na nietrwałych podpórkach, wetknąłem menażerowi pod nos moje malowidło i zabełkotałem coś łamaną angielszczyzną.

Wówczas tłum huknął salwą sprężonej radości:

— Jest, jest! Znalazł się! Pupczak do nas!

Kilkanaście rąk pochwyciło za rozmaite szczegóły mojej garderoby i zaciągnęło mnie na środek ringu. Byłem całkowicie oszołomiony. Pies-robot, widząc fatalne zakłócenie planowanej akcji, rzucał się jak szalony, kąsając bezsilnie ciągnących mnie kibiców. Pomoc psa okazała się jednak najzupełniej chybiona.

Do tego, który ściągał ze mnie wśród radości tłumów marynarkę i koszulę, zacharczałem:

— Oszczędzić prawą rękę, to mój warsztat...

— Nie warsztat, tylko majątek. Będziesz młócił nią na olimpiadzie.

Temu, który ściągał mi równocześnie spodnie, sądząc, że znajdzie pod nimi sportowe spodenki, rzuciłem słabiej:

— Jestem Komarczyk, malarz, jak Boga kocham, nie żaden Pupczak...

— He, bracie Pupczaku, nie wyprzesz się swojej twarzy. Swoją drogą nigdy nie mówiłeś, że także malujesz. To zdrowo! — ściskali mię wielbiciele. Przez megafony popłynęły informacje:

— „Z ogromną przyjemnością donosimy, że nasz reprezentant wagi ciężkiej uprawia w wolnych chwilach również malarstwo! A więc maluj, maluj, Pupczaku swoje piękne sierpowe! Maluj bez końca!"

Tłum skandował:

— Pupczak maluj! Pupczak maluj!

Coś mi się w duszy odmieniło. Zrobiło mi się dziwnie słodko i rozkosznie. Po raz pierwszy w życiu uczułem smak sławy. Uśmiechnąłem się wzruszony i wyciągnąłem w górę zaciśniętą pięść przyodzianą w rękawicę.

— Oby tylko prawdziwy Pupczak nie odnalazł się, oby...

Mój obraz został podarty na sztuki i rozdrapany przez wielbicieli.

KSIĄŻKI

RUCH LUDOWY NA RZESZOWSZCZYŹNIE. Materiały z sesji naukowej zorganizowanej przez WK ZSL w Rzeszowie z okazji 70-lecia ruchu ludowego. Pod red. Stanisławy Jareckiej-Kimlowskiej. Wyd. Lubelskie, s. 388, cena 50 zł. Nakład 2 000 egz.

Na Rzeszowszczyźnie, uważanej za kolebkę ruchu ludowego, odbyła się w dniach 28—30 lipca 1965 roku sesja zorganizowana dla uczczenia daty, kiedy powołane zostało do życia Stronnictwo Ludowe. Po słowie wstępnym **prezesa WK ZSL, Franciszka Dąbala, publikacja zawiera artykuły. I tak Krzysztof Dunin Wąsowicz przedstawia „Początki ruchu ludowego na ziemi rzeszowskiej", Zdzisława Trawińska publikuje szkic „Z dziejów stronnictw chłopskich w Małopolsce środkowej w latach 1918—1931", Władysław Folta „Związek Młodzieży Wiejskiej RP „Wici" w Małopolsce środkowej w latach 1928—1939", Antoni Podraza omawia „Walki klasowo-polityczne chłopów rzeszowskich w latach 1931—1939", Michał Bembenek prezentuje niektóre zagadnienia „Z problemów walki ruchu ludowego na Rzeszowszczyźnie" o narodowe i społeczne wyzwolenie w czasie okupacji hitlerowskiej, a Juliusz Petrus prezentuje „Udział ludowców województwa rzeszowskiego w budowie i umacnianiu władzy ludowej w latach 1944—1949".**

W dziale „Doniesienia naukowe i głosy w dyskusji" publikowane są wystąpienia 30 osób, reprezentujących partie i stronnictwa, działaczy ruchu robotniczego i ludowego, naukowców. W materiałach przedstawionych zostało wiele ważnych problemów, jak np. warunki kształtujące ruch ludowy, jego charakter i przeobrażenia. Ponadto młodowiejski ruch wiciowy, współdziałanie z partiami robotniczymi, narastanie frontu ludowego, strajki chłopskie w latach trzydziestych. Publikowane materiały dotyczą głównie spraw politycznych, niemniej jednak wiele miejsca poświęcono również problematyce gospodarczej, społecznej i oświatowo-kulturalnej. Nie zabrakło tematów związanych z czasami okupacji i okresu kształtowania się władzy ludowej.

Potrzebna publikacja i to zarówno ze względu na tematykę potraktowaną różnorodnie i raczej kompleksowo, jak również na potrzeby obywatelskiego wychowania młodego pokolenia, dla którego książka stać się może kopalnią wiedzy o przeszłości regionu.

Pisałem już kilkakrotnie w tym miejscu, że na półkach księgarskich coraz częściej ukazują się publikacje potrzebne prelegentom, wykładowcom szkolenia partyjnego, kandydatom partii, w ogóle wszystkim zainteresowanym w podnoszeniu wiedzy politycznej. Sygnalizuję całą serię dotyczącą ogólnych prawidłowości rozwoju społecznego oraz zagadnień związanych z budownictwem socjalizmu w naszym kraju:

Marian Malinowski: DROGA DO POLSKI LUDOWEJ, s. 44, cena 4 zł.

Albin Kania: NARODZINY SPOŁECZEŃSTWA I POCZĄTKI JEGO ROZWOJU, s. 39, cena 3,50 zł.

Włodzimierz Wesołowski: SPOŁECZEŃSTWO KAPITALISTYCZNE, s. 43, cena 3,50 zł.

Ryszard Turski: GŁÓWNE TENDENCJE PRZEMIAN SPOŁECZNYCH W POLSCE LUDOWEJ, s. 70, cena 5 zł.

Jerzy J. Wiatr: SPOŁECZEŃSTWO SOCJALISTYCZNE, s. 40, cena 3,50 zł.

Augustyn Woś: WYBRANE ZAGADNIENIA ROZWOJU GOSPODARCZEGO PRL, s. 31, cena 3 zł.

Wszystkie pozycje są wydane przez Książkę i Wiedzę.

To samo wydawnictwo prezentuje swym czytelnikom:

Wybrane zagadnienia światopoglądowe (laicyzacyjne). Wybór tekstów, s. 206, cena 10 zł.

Pozycja grupuje materiały w na-

Teresa Szetela

Kolorowa kolekcja

Kolekcjonerstwo jest jedną z ciekawszych pasji. Uprawia się je bez względu na wiek, stopień wykształcenia i warunki materialne. Stało się szczególnie popularnym hobby w ostatnich czasach.

Im bardziej kolekcja zawężona, ograniczona do jednego rodzaju przedmiotów, dobieranych ponadto ze znajomością rzeczy, tym jest wartościowsza. Ileż dzieł sztuki uratowało się przed zniszczeniem, zaginięciem dzięki temu pożytecznemu hobby.

Jeśli szukać początków muzealnictwa, to znajdzie się je właśnie w zbieractwie. Fundamentem wielu muzeów są wielkie, prywatne kolekcje. Podajmy dla przykładu Muzeum Narodowe w Krakowie z jego oddziałami, których zrębem są zbiory Czartoryskich, Czapskich, Feliksa Jasieńskiego i innych.

Jedną z wielu pasji zbieraczkich kustosza Aleksandra Rybickiego jest ceramika pokucka. Jedną z wielu, gdyż jako dyrektor Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku gromadzi wszystko, co może być przydatne w skansenie, począwszy od chałup, cerkwi, kościółków, do najmniejszych drobiazgów, które w przyszłości posłużą do wyposażenia tych obiektów. Ceramika huculska stanowi jednak zupełnie prywatne zbiory.

Ostatnio nadarzyła się sposobność obejrzenia ich na wystawie zorganizowanej w Muzeum Okręgowym w Rzeszowie. Kolekcja, jak na jej młody wiek — dyrektor Rybicki rozpoczął gromadzić ceramikę huculską w kilka lat po II wojnie — jest znaczna. Obejmuje ponad 100 eksponatów.

To już druga tego rodzaju kolekcja w jego życiu. Pierwsze zbiory huculskie przepadły w czasie wojny, zabrane przez Niemców.

Wystawa daje możność zapoznania się niemal z całokształtem ceramicznej twórczości huculskiej. Znajdujemy i starsze datowane okazy z połowy XIX wieku i współczesne, z lat ostatnich.

Cenniejszym nabytkiem jest zespół kilkudziesięciu kafli pochodzących z pieca, który niegdyś stanowił własność Xawerego Dunikowskiego. Ujawnia się w nich najsilniej rodzimy kierunek ceramicznej sztuki Pokucia. Znajdujemy tu całe serie scen rodzajowych, nie pozbawionych momentów humorystycznych, wśród nich zabawy w karczmie, szeregi maszerujących żołnierzy, zaprzęgi konne, sceny z polowania, ponadto motywy ptaków, jeleni itp., wypowiadane lapidarnym językiem przez malarza - ceramika. Wśród motywów czysto dekoracyjnych znajdujemy charakterystyczny motyw symetrycznego kwiatonu ze stylizowanymi różami.

Zasadniczy rysunek scen stanowi grawirowany na jasnym tle pobiałki kontur. Wykreślone w ten sposób pola wypełnia malarz jednolitą plamą barwną, zieloną, żółtą, brunatną, rzadziej niebieską. Ileż zbieżności znajdujemy między architekturą cerkiewną na kaflu malowanym przez pokuckiego garncarza a akwarelową architekturą Nikifora — Matejki. To samo graficzne, wykreślone zdecydowaną linią przedstawienie obiektu, to samo zakomponowanie pola mnogością architektonicznych elementów, to samo płaszczyznowe, dekoracyjne, pozbawione perspektywy ujęcie.

Autorstwo tych kafli przypisuje się Aleksandrowi Bachmińskiemu, jednemu z najstarszych znanych garncarzy kosowskich (1822—1882). Nie jest to jednak całkowicie pewne. Stylem odbijają znacznie od późniejszych jego prac, pochodzących z drugiej połowy XIX wieku. Autorstwo najstarszych okazów majoliki huculskiej, jak i sama jej geneza są nierozstrzygnięte, pozostają w dalszym ciągu zagadką dla badaczy.

Do tej grupy wcześniejszych prac należy zaliczyć ceramikę z Pistynia, która zachowuje tradycje dawnego stylu ludowego. Na wystawie znalazło miejsce kilka okazów z tego ośrodka. Najbardziej interesujące są głębokie misy z motywami figuralnymi oraz piękny, trzyramienny świecznik o niezwykle harmonijnym zestawie ornamentów i barw.

Odmiennością oszczędnego traktowania dekoracji wyróżnia się z całego zestawu eksponatów misa — makutra zdobiona prostą i zarazem subtelną malaturą, zbliżoną do tzw. techniki marmurkowania, nazywanej „fale Czeremoszu". Okaz ten uważany jest za jeden z najstarszych. Szkoda, że przez używanie polewa na dnie zniszczała.

Pokaźną liczbę eksponatów przedstawia ceramika drugiej połowy XIX wieku, związana z nazwiskiem Aleksandra Bachmińskiego i jego rodziną, której czynnymi malarkami były córki Anna i Rozalia. W grupie tej daje się już zauważyć wpływ obcych elementów widocznych szczególnie w kształtach naczyń.

Wzmożone zainteresowanie ceramiką pokucką w ostatniej ćwierci XIX wieku nie wyszło jej na dobre, mimo że intencje ludzi usiłujących reaktywować upadające już rzemiosło były jak najlepsze. Organizuje się kolejne pokazy majoliki pokuckiej — wielką wystawę we Lwowie w 1877 roku, następnie wystawę przemysłową w Kołomyi w 1880 r. Nieco wcześniej powstaje szkoła w Kołomyi, która ma decydujący wpływ na zmianę stylu. Wprowadza się obce elementy greckich amfor oraz mieszczańskich flakoników z falbankami, które nie mają już nic wspólnego z ludowymi formami. Oprócz motywów rodzimych, tradycyjnych wprowadzane zostają obce elementy zdobnicze, m. in. tyrolskie oraz wzory wprawdzie regionalne, ale zapożyczone z innych dziedzin rzemiosła, haftów, tkanin i drzewa. Z poprawą techniki wykonania, w czym odegrała rolę szkoła w Kołomyi, idzie w parze większa pedanteria, czystość w kładzeniu farby i zarazem suchość ornamentu, co wychodzi na niekorzyść w porównaniu ze świeżością dawnych wyrobów. Duża ilość tego typu naczyń pochodzi z warsztatu Piotra Koszaka z Kosowa. Styl ten znacznie jeszcze pogłębiony w kierunku odejścia od tradycji reprezentują wyroby lwowskiej szkoły Lewińskiego.

Końcowym akcentem wystawy są współczesne wyroby oparte na dawnych motywach zdobniczych. Ograniczone do kształtów niewielkich mają raczej charakter pamiątkarski.

Na uwagę zasługuje, że kolekcja dyrektora Rybickiego zgłoszona jest do urzędu Konserwatora Wojewódzkiego, co zabezpiecza jej tym samym opiekę państwa. Jest starannie opracowana i w całości zinwentaryzowana. Jej właścicielowi z okazji pierwszej wystawy swojego zbioru należy życzyć dalszych pięknych nabytków.

Pomagamy rodzicom

(Dokończenie ze str. 2)

ciej pomaga mu żona, łącząca nierzadko pracę zawodową z obowiązkami domowymi i opieką nad dziećmi. Zjawisko to w jakimś stopniu występuje i u nas, co stawia na porządku dnia potrzebę lansowania wzoru osobowego dziecka czy młodzieńca, pomagającego w tych drobnych pracach domowych. Ale występuje tu jeszcze inny aspekt zagadnienia, zresztą dość szczegółowo omówiony na łamach pism o nakładzie nie przekraczającym tysiąca egzemplarzy; myślę o skutkach feminizacji instytucji wychowawczych, o zdecydowanej przewadze kobiet w zawodzie nauczycielskim, o przerzuceniu na matkę obowiązku opieki nad dziećmi. Specjaliści twierdzą, że jednym ze źródeł nieprzystosowania społecznego młodzieży, jest właśnie brak męskich wzorów wychowawczych.

Wyrzekamy na kryzys władzy rodzicielskiej, z grubsza wiemy, czym jest spowodowany, ale co dalej? Gruntowniej znamy negatywne skutki rozbicia rodziny dla zdrowia moralnego dziecka, a ujmując to zagadnienie w szerszych kategoriach, mówi się o nasilaniu tzw. choroby sierocej.

Podniosłem naraz kilka kwestii, wymagających odrębnego potraktowania; ale upoważniają one jednak do twierdzenia o doniosłej roli rodziny, której inne instytucje społeczne nie zastąpią, co najwyżej mogą jej pomóc. Ale oferując tę pomoc, nie należy upodabniać się do plebana, upychającego wiernych kolanami do nieba, a mówiąc bez przenośni — ewentualne inicjatywy muszą odpowiadać społecznemu zapotrzebowaniu, muszą być zrozumiałe dla adresatów.

ZDZISŁAW KOZIOŁ

stępujące działy: Państwo i kościół w PRL, Twórcy marksizmu-leninizmu o religii oraz tradycje walki o laicyzację życia społecznego w Polsce.

Ten ostatni dział zaczyna materiał Mikołaja Kopernika, a kończy po T. Boyu Żeleńskim, Władysław Witwicki. A więc kompendium. Formą dziennikarską i tematyką podobne są trzy następne pozycje prezentowane w przeglądzie nowości wydawniczych.

I tak Wilhelmina Skulska w zbiorze „MARGINESY NASZEGO ŻYCIA" (KiW, s. 251, cena 18 zł), omawia sytuację w więzieniach dla nieletnich, zastanawia się czy ta forma represji jest we wszystkich wypadkach najlepsza. Prezentuje typy oraz formy następstw i przestępców młodzieżowych, chłopców i dziewcząt. Młodocianych i nieletnich. Sposoby resocjalizacji i ich efekty. Omawia również wiele zagadnień związanych z alkoholizmem, jego skutkami społecznymi, leczeniem tego okropnego nałogu. Zwiedzamy wraz z autorką domy dla umysłowo chorych, gdzie sporo jest dzieci debilnych, ludzi ograniczonych umysłowo z winy własnej i rodziców.

Utwory poetyckie:

Tadeusz Różewicz: WIERSZE I POEMATY, PiW, s. 177, cena 16 zł.

Władysław Perkowski: SNY LATARNIOM, s. 51, cena 10 zł. Wyd. Morskie.

Wojciech Witkowski: CZEKAJĄC NA SYNA, s. 68, cena 10 zł. Wyd. Morskie.

Włodzimierz Ścisłowski: W MOIM ALUZJONIE, Wyd. Poznańskie, s. 58, cena 12 zł, Wiersze, fraszki, limeryki i myśli, ilustrował Zbigniew Lengren.

Żywot magazynów nadawanych raz w miesiącu zawsze wydawał mi się dobrze ugruntowany: bo to ani pośpiechu nie wymagają i czasem na porządne opracowanie tematu dysponują. Jeśli jednak ukazawszy się dwa razy — trzecie wydanie anonsują już za dwa miesiące, można mieć obawy co do częstotliwości regularnej takiego magazynu... Myślę naturalnie o „Almanachu literackim", którego konieczność na małym ekranie sama miałam możność kwestionować. Okazuje się, że nie tylko ja ją kwestionowałam, że zrobiła to także recenzentka warszawska i Jacek Fuksiewicz — autor magazynu musiał ponownie wyjaśnić, jak to jest z tym „Pegazem", „Pejzażem" oraz jego własnym „Almanachem". Wyjaśnił, trzeba przyznać, rzeczowo i gdyby zamknąć wszystkie trzy pozycje w granicach rygorów, o których mówił Fuksiewicz, miałyby one zupełnie zdrowe podstawy rozumowe. Niestety, taka izolacja „Pegaza" od wydarzeń w kraju, z punktem ciężkości na Varsovianach artystycznych, czy też ograniczanie „Pejzaży" do regionalnych zjawisk artystycznych w odcięciu i bez powiązania ze stolicą, z zagranicą, wreszcie — sam „Almanach" poświęcony tylko tej zagranicy — zdaje mi się w praktyce nierealnym przedsięwzięciem. Płynność zjawisk artystycznych, przenikanie kultur, pewne, istniejące zawsze podporządkowanie modom i metodom artystycznym wyklucza sens tak ścisłego rozgraniczenia, geograficznego przede wszystkim, jakie sobie twórcy trzech magazynów dość sztucznie założyli. I chociaż „Almanach" bardzo rzetelnie zrealizował swoje dwa programy — nie wróżą mu zbyt wielkiej przyszłości. I zawsze będzie stał pod znakiem zapytania wszelki wybór tematyki w nim zawartej: dlaczego np. Chagall, a nie Picasso czy Siqueiros, dlaczego Apollinaire a nie Jewtuszenko czy Wozniesienski itd., itd...

Ubiegły tydzień dorzucił nam ponadto dwa nowe cykle publicystyczne. Pierwszy z nich — to „Fabryczne zbliżenia" — magazyn dla robotników i o robotnikach. Trudno autorytatywnie stwierdzić, co to będzie, po pierwszym programie, który zajął się redakcjami gazet zakładowych. Nie stwierdziłam także, by mnie ten problem pasjonował i to nie dlatego wcale, że nie dostrzegam jego wagi, lecz raczej dlatego, że dość nijaki był ten wywiad o wywiadach. Na uwagę zasługiwał jednak jeden z tych wywiadów, właśnie z naszego terenu i właśnie najlepszy. Redaktor tarnobrzeskiej „Siarki" — Wiesław Koszela z dużą kulturą i znajomością problemu poświęcił swoją wypowiedź zagadnieniu tak istotnemu w naszym województwie jak chłopo-robotnicy. Była to wypowiedź rzeczywiście publicystyczna, usiłująca zgłębić przyczyny, rozwiać niedobry mit o chłopie zainteresowanym przede wszystkim swoją zagrodą, podkreślająca wagę przemian zachodzących w świadomości robotnika rekrutującego się z piaskowych poletek Piaseczna, Machowa i okolic Tarnobrzega.

Drugą pozycję przyniosła nam Wszechnica Telewizyjna, a przygotował i poprowadził ten program jej szef — red. Józef Waniewicz. Trzej naukowcy — prof. Krzyżanowski oraz doc. doc. Jankowski i Rejkowski omówili w kilkunastominutowym spotkaniu „Moralność i obyczaje". Rzecz była ciekawa, poruszała sprawy trudne, prostowała mylne sądy, zwłaszcza ten jeden, w którym ogół bardzo szeroki zwykł utożsamiać moralność ze zdrowym rozsądkiem. Był to udany mariaż filozofii z życiem codziennym. Cóż z tego jednak, kiedy telewizyjny czas pogania i właśnie w momencie pierwszego rozgrzania dysputą, trzeba mu się podporządkować i dysputą po prostu kończyć. Zdaje mi się, że ten cykl zapowiadający się tak pożytecznie, można by rozciągnąć nieco w czasie, kosztem bodaj tych krótkometrażówek — zapchajdziur, którymi nasza telewizja tak często szafuje...

Z innych programów pojawił się ze swoim specyficznym humorem Jeremi Przybora w „Wizytach" i jak to bywało dotąd, może nie wszystkich usatysfakcjonował, lecz sporej na pewno gromadce telewidzów sprawił wyborną rozrywkę. W teatrze Spółka Aktorska Keith Waterhouse i Willis Hall z ich „Babią Górą", wyreżyserowaną przez Cywińską-Adamską, dała nam próbkę humoru angielskiego, może nie najwyższych lotów, ale dobrym rzemiosłem udokumentowaną (i takimż aktorstwem Łaniewskiej i Świderskiego), a Mark Twain w adaptacji Neswera zatytułowanej „Spadek na kredyt" (reż. Strakowski) nieco nużył dłużyznami w niedzielne popołudnie, choć urokliwe aktorstwo Bogdany Majdy usiłowało te dłużyzny przezwyciężyć.

No i nareszcie mieliśmy dobrą „Giełdę piosenek" — laureatek konkursu ZMW i dobrze obsadzony fotel krytyka w osobie Jerzego Ofierskiego oraz dobrego, a nawet bardzo dobrego polskiego belfegora, czyli opowieść niesamowitą „Ja gorę", w której nie było dłużyzn — za to był celny i świeży dowcip.

KRYSTYNA

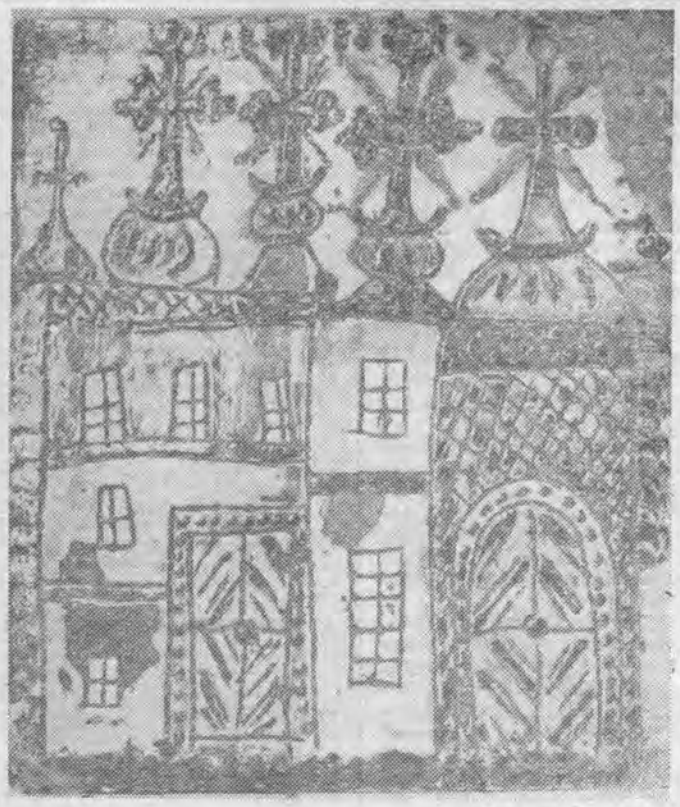

Fot. A. HADAŁA

NA NASZYM EKRANIE

Stewart Granger

Wstyd przyznać — nie wiem jaki szlagier króluje obecnie na karnawałowych parkietach. Pamiętam jednak, że jakieś dwadzieścia lat temu z górą od Gdańska po Gorlice obok słynnego tanga „Noc w Zakopanem" panowała wszechwładnie melodia „Rosanno, czy już nie kochasz mnie", w której takt drepcące u boku swoich partnerów po parkiecie panie przymykały oczy, wyobrażając sobie, że oto trzyma je w ramionach sam „cudny Nino" z filmu „Rosanna siedmiu księżyców", który wylansował tę piosenkę. Ninem był aktor Stewart Granger, szturmem podbijający wówczas serca milionów Polek, film zaś i melodia były szlagierem sezonu.

Stewart Granger urodził się 6 maja 1913 r. w Londynie. Dopóki nie porzucił medycyny, wybierając aktorski stan, nazywał się inaczej — James Stewart. Rozpoczynając sceniczną i filmową karierę musiał zmienić nazwisko, ponieważ znany był już inny, bardzo popularny aktor amerykański o tym samym imieniu i nazwisku. Pierwsze kroki w służbie Melpomeny stawiał Granger w objazdowych i prowincjonalnych teatrach angielskich, a w roku 1937 zadebiutował na scenie londyńskiej. Przed kamerą stanął po raz pierwszy w roku 1938 w filmie „So this is London", następnie podczas wojny wystąpił w „Historii jednego konwoju", „Szarym lordzie", „Thursdays Child", „The Lamp still Burns", „Fanny by Gaslight", „Waterloo Road", „Love Story", „Rosannie siedmiu księżyców". Jednym z następnych jego filmów był obraz „Cezar i Kleopatra", w którym zagrał rolę Marka Antoniusza (Kleopatrą była Vivien Leigh).

Do roku 1950 Stewart Granger występuje w filmach angielskich, stwarzając jeszcze jeden typ amanta, przystojnego, ale kanciastego, obcesowego, prezentując aktorstwo nazbyt schematyczne i nie najwyższej próby.

W roku 1950 opuszcza Anglię. Gra odtąd w obrazach realizowanych w Hollywood, we Włoszech i NRF. Znane i u nas „Skarby króla Salomona", „Scaramouch", „Paganini", „Salome", „Cichy wspólnik", wspomniane „Kroki we mgle" — oto niektóre z jego późniejszych filmów. Udana, interesująca kreacja w „Krokach we mgle" sprawiła, że odtąd często obsadzano go w rolach „czarnych charakterów", przystojnych, ale okrutnych i złych bohaterów różnych filmów. Grywa takie role w licznych westernach, jest jednym z najpopularniejszych aktorów charakterystycznych.

W roku 1956 reżyser Richard Brooks proponuje mu jedną z głównych ról w filmie „Ostatnie polowanie". Pierwotnie obie czołowe role męskie w tym filmie mieli objąć Gregory Peck i Montgomery Clift, ale reżyser zobaczywszy w jakimś filmie Stewarta Grangera i Roberta Taylora postanowił zaangażować właśnie ich. Ale odwrócił im role. Znany jako ekranowy „czarny charakter" Stewart Granger zagrał pozytywnego bohatera Sandy McKenzie, a cukierkowy amant Robert Taylor wystąpił jako zły, zdegenerowany wojną, oszalały zabijaniem Charles Gilson.

Taylor spisał się doskonale. Jest znakomity jako okrutny, bezwzględny i nieludzki łowca bizonów, zabijaka, wręcz morderca. Jest w „Ostatnim polowaniu" zdecydowanie najlepszy. Granger miał rolę nieco trudniejszą, jak to zwykle bywa z postaciami pozytywnymi. Do połowy filmu idzie mu nie najgorzej, ale później trochę przesłodził swojego bohatera, upodobnił do wielu znanych już z dziesiątków filmów szlachetnych, ale nieprzekonywających dżentelmenów w kowbojskich kapeluszach. Mimo niepełnego sukcesu artystycznego aktor reprezentujący w tym filmie dobro i szlachetność zdobywa sobie jednak sympatię i uznanie widzów.

Od czasu „Ostatniego polowania" Stewart Granger zagrał w dziesięciu filmach, między innymi w „Sodomie i Gomorze" (Lot), „Old Surehandzie", „The secret Invasion" i innych. Niektóre z nich („Olda Surehanda" już niedługo zobaczymy także na naszych ekranach. *(sz)*

Kalman Segal

Mały felieton

Chcę dzisiaj napisać o trudnościach zawodowych dziennikarza, u którego redaktor naczelny zamówił felieton, taki jak ten właśnie mały felietonik na trzydzieści wierszy.

Felieton jest formą dowcipną i niesmutną. Taki powinien być. Ale życie nie jest spacerkiem po perskich dywanach i nie zawsze można pisać wesoło.

Mam jednego kolegę, który lubi się pośmiać, znam go od piętnastu lat, w każdą niedzielę jadamy razem śniadanie, i za każdym razem ten człowiek opowiada mi tę samą wspaniałą anegdotę o dziewczynie, która miała owłosione łydki. Kolega opowiada z talentem i świetnie się przy tym bawi. Czy innych to bawi? Cóż go to obchodzi...

Pewien redaktor nie chciał opublikować mojego opowiadania o obozie w Oświęcimiu. Powiedział, że to zbyt smutne, czytelnicy nie lubią smutnych kawałków.

I może miał rację. Autorzy powinni pisać tak, żeby podobało się ludziom wesołym i ludziom smutnym, starym i młodym, wierzącym i ateuszom, mądrym i głupim.

Jeden autor przyniósł do naszej redakcji felieton na temat sytuacji o handlu warzywniczym i owocowym. Zaczynał się ten felieton dość patetycznie:

— Znasz li ten kraj, gdzie cebula dojrzewa...

Oczywiście, chodziło o cytryny, nie o cebule. Nasz naczelny redaktor chciał tego autora zamordować. A nie miał racji. Cebula też ma dużo witamin i jest znacznie tańsza...

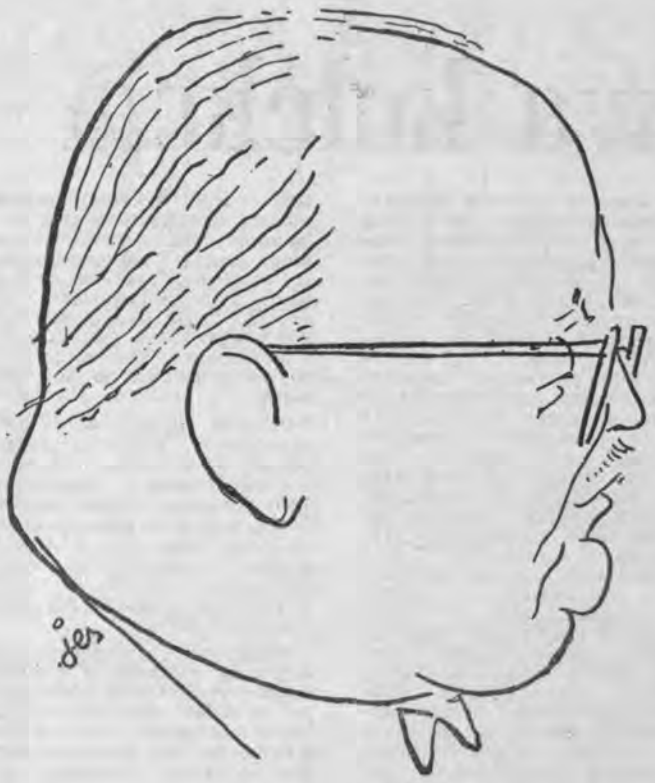

EWARYST LEOPOLD HOŁDANOWICZ — nauczyciel I i II Liceum Ogólnokształcącego w Rzeszowie.
RYS. J. SIENKIEWICZ

Koncert Warszawskiego Kwintetu Akordeonowego

Staraniem Oddziału Rzeszowskiego Stowarzyszenia Akordeonistów Polskich przybędzie na gościnne występy w naszym województwie Warszawski Kwintet Akordeonowy pod kierownictwem mgr Włodzimierza Lecha Puchnowskiego.

Wykonawcami koncertów są laureaci międzynarodowych konkursów akordeonowych: W. L. Puchnowski, Jerzy Jurek, Andrzej Zieliński oraz inni.

Występy odbędą się kolejno: w Rzeszowie — 9. II, Jarosławiu — 10. II i w Stalowej Woli — 11. II br. W programie koncertów znajdą się utwory oryginalne, jako też adaptacje muzyki poważnej i rozrywkowej.

Kartki dla Ewy

PLACEBO

Medycyna ma wspaniałe osiągnięcia. Każdy dzień przynosi nam nową rewelację. Przeszczepiają nam serca, nerki, sztukują nadwerężone kończyny, transplantują skórę, zmieniają kształt nosa, podbródka i biustu. Maluczko, a nawet katar nie będzie problemem.

Dzięki świadomemu macierzyństwu, gerokemii i gerontologii świat zaludnią rześcy staruszkowie i dzielni przedstawiciele średniego pokolenia. W niektórych klinikach poddano leczeniu pacjentów cierpiących na schorzenia układu nerwowego metodą „placebo". Rzecz polega wyłącznie na psychoterapii i hipnozie. Chorzy, nie wiedząc o tym otrzymują leki najzupełniej obojętne farmakologicznie. Cierpiącym na chroniczną bezsenność zamiast glimidu czy luminalu — łup niewinną tabletkę o składzie: witamina C plus massa tabulettae; komuś innemu, zamiast kropelek o niezwykle skomplikowanym składzie chemicznym — przenajczystszą, destylowaną H_2O... itd., itp. Leki tej grupy otrzymały wspólną nazwę „placebo", a efekty kuracji są podobno znakomite.

Marzy mi się takie „placebo" na co dzień. Wszczepione na amen pod skórę niczym przeciwalkoholowy „esperal", uodparniające nas na wszystkie stressy dnia powszedniego. A jak piękne byłoby wtedy życie! Pesymiści stają się gromadą wesołych i pełnych werwy ludzi, ich oblicza nabierają blasku, chód sprężystości. Wszystko dzięki „placebo". Teraz nawet uciążliwe zakupy stają się przyjemnością. To nic, że kolejny sklep w mieście nie dysponuje żądanym kolorem czy rozmiarem poszukiwanej garderoby. Kupujemy co popadnie: niemowlęce śpioszki zamiast inekspryma dla męża, kostium kąpielowy zamiast nauszników, zielony kapelusz do czerwonej sukni, kaszankę zamiast schabu i landrynki z braku „ptasiego mleczka". Któż widział uganiać się po sklepach i komisach w poszukiwaniu rajtarskich butów za 800 złotych? Wystarczą filcaki za 150, „placebo" bowiem wszystko odmieni.

Nawet łysi, dzięki peruczkom ze sklepów zabawkarskich uwierzą w swoją czuprynę „beatlesów". Przymiarka przed lustrem, kilka ruchów grzebieniem — „placebo" — i znów na głowie włos bujny i lśniący. Zbrzydli nam ludzie, z którymi mamy stale do czynienia — przymykamy oczy, szepcemy zaklęcie i błyskawicznie jesteśmy w innym, lepszym świecie. Zwierzchnicy doceniają nasze starania i zdolności, jako petenci w urzędach jesteśmy załatwiani bez zbędnej biurokracji, ekspedienci mówią nam „proszę", „dziękuję" i „do widzenia", a nasze dzieci uczą się wyłącznie na piątki... Tylko lekarze po staremu mają dużo roboty — złośliwe życie wymyśla wciąż nowe choroby. Drobiazg, niech żyje „p l a c e b o"!!! **Bega**

ZDARZENIA TYGODNIA

Przed kilku miesiącami informowaliśmy w jednej z notatek rubryki, że dzięki staraniom Wojewódzkiej Komisji Związków Zawodowych doroczna impreza „Teatry robotnicze — ludziom pracy" obejmie swym zasięgiem cały kraj i od bież. roku będą w niej brały udział związkowe teatry amatorskie z całej Polski. Ostatnio w Stalowej Woli powołano już komitet organizacyjny, na którego czele stanął I sekretarz Komitetu Miejskiego PZPR w Stalowej Woli, Witold Kurek. Imprezie patronuje komitet honorowy na czele z sekretarzem KW PZPR w Rzeszowie, Stanisławem Rybą.

Podczas spotkania aktywu w Stalowej Woli ustalono również harmonogram prac, związanych z przygotowaniem i organizacją spotkań, które odbędą się w dniach 12—18 maja i zbiegną się z jubileuszem miasta i Huty „Stalowa Wola".

* * *

W rzeszowskim Muzeum Okręgowym trwają ostatnie już przygotowania do mającej się odbyć w dniach 19—21 lutego br. X Ogólnopolskiej Konferencji Archeologicznej organizowanej przez Instytut Historii Kultury Materialnej PAN oraz Zarząd Muzeów i Ochrony Zabytków Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Jak nas poinformowano, w tym dorocznym spotkaniu archeologów wezmą udział przedstawiciele niemal wszystkich ośrodków, a program przedstawia się bardzo interesująco. Przewidziane są wystąpienia wybitnych przedstawicieli tej gałęzi nauki, jak np. prof. dra Kazimierza Majewskiego, prof. dra Witolda Hensela, prof. dra Rudolfa Jamki i prof. dra Zdzisława Rajewskiego. Nie wymieniliśmy tu oczywiście wszystkich nazwisk ani tytułów referatów, które będą traktowały w szczególności o zagadnieniach związanych z terenem naszego województwa. Jemu będą też poświęcone wystąpienia przedstawicieli pracowników naukowych Muzeum Okręgowego i muzeów regionalnych, którzy przedstawią stan badań na naszym terenie.

Obrady trwać będą w Rzeszowie, Łańcucie, Jarosławiu i Przemyślu. W tym samym terminie w Rzeszowie, Łańcucie i Sanoku odbędzie się I Ogólnopolska Sprawozdawcza Konferencja Etnograficzna.

* * *

Ten kierunek działalności Państwowej Filharmonii im. A. Malawskiego w Rzeszowie jest chyba najmniej znany szerszemu ogółowi społeczeństwa, oprócz oczywiście młodzieży szkolnej. Chodzi po prostu o tzw. audycje umuzykalniające, organizowane w szkołach, stanowiące niejako uzupełnienie, wprowadzonego ostatnio do programu wychowania muzycznego. Ostatnio np. zakończono cykl poświęcony operetce i musicalowi. Ilustratorami programu byli: Sonia Jaskóła — sopran Opery Krakowskiej, Edward Adler z Operetki Krakowskiej, Maria Iwanejko (fortepian) z Filharmonii Kraków oraz krakowski aktor, Stanisław Gronkowski. Słowo wiążące, — kierownik literacki rzeszowskiej Filharmonii mgr Zbigniew Bujarski.

* * *

Bułat Okudżawa, z pochodzenia Gruzin, zyskał sobie na pewno zasłużoną sławę jako poeta i autor lirycznych i satyrycznych piosenek, wykonywanych przez siebie przy akompaniamencie gitary. Jemu też był poświęcony, zorganizowany w ubiegłą środę w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki w Rzeszowie, wieczór poetycki. Warszawski literat, tłumacz i dziennikarz Ignacy Szenfeld mówił właśnie o twórczości Okudżawy. Zebrani wysłuchali również recytacji jego wierszy. Nieobecność poety na wieczorze prelegent zrekompensował odtworzeniem z taśmy niektórych utworów.

* * *

W Klubie Energetyka przy ul. 8 Marca w Rzeszowie otwarta została 25 stycznia wystawa fotografii artystycznej pt. „Impresje dziewczęce" (Portret i akt). Wydział Kultury Prez. MRN i Rzeszowskie Towarzystwo Fotograficzne podejmując się organizacji wystawy miały na celu niewątpliwie popularyzację dobrej sztuki fotograficznej. Autorka wystawionych około 150 fotogramów jako specjalistka z dziedziny wychowania fizycznego wybrała sobie wdzięczne pole do operowania obiektywem. A że to się jej w całej pełni udaje, potwierdzą wszyscy zwiedzający.